Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 14. Września 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 33.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

W SPRAWIE JUBILEUSZU
J. I. KRASZEWSKIEGO.

Nie chcąc, aby nas niesłusznie posądzono o jakiś istniejący tylko w głowach pewnych ludzi antagonizm między Lwowem i Krakowem wstrzymywaliśmy się z uwagami nad programem jubileuszu Kraszewskiego, obecnie jednak, gdy zkąd inąd odezwały się poważne głosy krytyki, obowiązek nakazuje nam nie dać przebrzmieć tej ważnej sprawie bez echa. W ostatnim numerze „Tygodnia“ zamieściliśmy artykulik pism Warszawskich przeciw połączeniu uroczystości jubileuszu Kraszewskiego z poświęceniem odnowionych *Sukiennic*. Artykuł ten ogłoszony nasamprzód w „Gazecie Polskiej“, powtórzyły prawie wszystkie pisma warszawskie, z tego więc powodu jest on prawdziwym wyrazem opinji rodaków naszych z pod moskiewskiego zaboru i jako taki zasługuje na szczególną uwagę. Na pozór zdawaćby się mogło, że poświęcenie *Sukiennic* w dzień jubileuszu powinno przyczynić jeszcze świetności obchodowi jubileuszowemu, gdy jednak zastanowimy się bliżej nad tą sprawą, okaże się, że połączenie to dwóch uroczystości w jedną, zamiast podnieść osłabi tylko ową prawdziwie narodową manifestację dla najzasłużeńszego z żyjących naszych pisarzy. Jakkolwiek *Sukiennice* są własnością całego narodu, uroczystość ich poświęcenia będzie miała cechę kościelno-lokalną z nieodzownym u nas pokostem austrjacko-galicyjskim, co zupełnie nie może licować z charakterem jubileuszu Kraszewskiego, który żadnych partykularnych cech mieć nie powinien. Pisma warszawskie, które pod uciskiem cenzuralnym wyrobiły sobie osobny styl do wyrażania draźliwszych myśli, potwierdzają nasze zapatrywania w tem sarkastycznem zdaniu: „A może na dnie tego sformułowania tkwi owa niedocieczona i nieprzystępna dla ogółu *ministerjalność*, w którą czasem każą nam ślepo wierzyć, jako w kwintessencję rozumu stanu?“ Otóż zarówno z Warszawiakami pragniemy, aby uroczystość jubileuszu Kraszewskiego była wolną od tej kwintessencji galicyjskiej polityki. Drugim zarówno ważnym argumentem przeciw połączeniu poświęcenia *Sukiennic* z jubileuszem Kraszewskiego jest fakt, że w razie utrzymania się programu krakowskiego komitetu, osoba szanownego jubilata mimowoli znalazłaby się na drugim planie. Po uroczytości poświęcenia ma nastąpić uczta w odnowionej sali *Sukiennic*. Zchodzą się biesiadnicy, komitet wprowadza jubilata — zasiadają do stołów. Przychodzi kolej na toasty. Prezydent miasta zabiera głos i w długiej pełnej zapału mowie podnosi błogi stan polityczny Galicji w porównaniu z innymi zaborami, opiekowanie się rządu narodowością naszą, wspomina o Akademji umiejętności itd. wreszcie wyraziwszy uczucia przywiązania Polaków galicyjskich do korony, wznosi zdrowie na cześć Najj. Pana. Drugi toast dostaje się w udziale księdzu biskupowi, jako osobie, która przy poświęceniu *Sukiennic* najgłówniejszą odgrywała rolę, ks. biskup dziękuje i przedstawiwszy wymownie zasługi p. Zyblikiewicza około podniesienia miasta, które obecnie w *Sukiennicach* zyskało świetną ozdobę, spełnia kielich na cześć p. prezydenta, a dopiero po tych trzech toastach przychodzi kolej na jubilata. Może mylimy się co do ilości i porządku toastów, w każdym jednak razie przy połączeniu poświęcenia *Sukiennic* z jubileuszem, bez popełnienia rażącej niekonsekwencji, właściwa uroczystość, tj. uczta wspólna inaczej odbyć się nie może. To cośmy powiedzieli o uczcie, jest tylko małym przykładem, cały przebieg uroczystości musi mieć taki podwójny charakter, uwaga pnbliczności przez czas całej uroczystości będzie rozbitą, a wszystko to osłabi narodowe znaczenie jubileuszu, a u rodaków naszych z Poznańskiego i Królestwa obudzi tylko niesmak zamiast błogiego radości uczucia.

Taki niesmak obudziło w Warszawianach już samo ogłoszenie programu, a w artykule, przez nas wspomnianym zapowiadają oni, że „jeśli mają brać udział w zamierzonych uroczystościach, to objaśniają komitet krakowski, że przy całem współczuciu dla *Sukiennic* pozostawią je na uboczu.“ A więc dzięki komitetowi krakowskiemu bardzo łatwo mogłoby przyjść do *secesji* między samymi uczestnikami jubileuszu?!... Jakby to na samą uroczystość wpłynęło, zdaje się że mówić nie potrzebujemy...

Z tych powodów, które z nami wielka część kraju i stolicy czerwonoruskiej podziela, przyłączamy się do opinji mieszkańców Królestwa Polskiego i radzimy komitetowi krakowskiemu, aby zmienił program obchodu jubileuszowego przeznaczając inny dzień na poświęcenie *Sukiennic*. Zdaje nam się, że najstosowniej byłoby uczynić to w wigilję jubileuszu w obecności Kraszewskiego. Jeszcze parę tygodni oddziela nas od dnia jubileuszu, na zmianę więc programu czasu starczy aż nadto.

PRZEZ STEPY.

OPOWIADANIE KAPITANA R.

Napisał

LITWOS.

(*Dokończenie*).

Oto niespodzianie owe mgły i dymy rozsunęły się, jakby na skinienie — i przed oczyma naszemi ukazały się Sierra-Newada zielone, uśmiechnięte, cudne, pokryte błyszczącemi śniegami na szczytach i tak bliskie, że gołem okiem mogliśmy odróżnić szczerby w górach, zielone stoki i lasy. Zdawało nam się, że ich powiew świeży, pełen żywicznego zapachu jodeł, dolatuje nas przez zgliszcza, i że za kilka godzin dosięgniemy ich stóp kwiecistych. Na ten widok ludzie, wyniszczeni tą straszną pustynią i trudami, poczęli prawie od zmysłów odchodzić z radości: jedni padali na ziemię ze szlochaniem, drudzy wyciągali ręce ku niebu lub wybuchali

śmiechem, inni pobledli, nie mogąc ani słowa przemówić. Oboje z Lilian płakaliśmy także z radości, która mięszała się we mnie ze zdumieniem, bom sądził, że najmniej sto pięćdziesiąt mil dzieli nas jeszcze od Kalifornii. A tymczasem góry śmiały się do nas przez zgliszcza i zdawały się, jakby przez czarodziejstwo jakie, przybliżać, i pochylać ku nam, i zapraszać, i nęcić. Choć godziny wyznaczone na spoczynek nie minęły, ludzie ani chcieli słyszeć o dłuższem pozostaniu na miejscu; chorzy nawet, wytykając swe wyżółkłe ręce z pod dachów płóciennych, prosili, by zaprzęgać natychmiast i jechać. Raźno i ochotnie ruszyliśmy naprzód, a do świstu kół po zwęglonej ziemi łączyły się klaskania z biczów, śpiewy i krzyki. O objeżdżaniu spalonego szlaku nie było i mowy.

Pocóż to i objeżdżać, skoro kilkanaście mil dalej była już Kalifornia i jej cudne góry Śnieżyste! Szliśmy więc na przełaj. Tymczasem szrzeżoga znowu z dziwną nagłością przesłoniła nam nasz widok promienny. Upływały godziny, widnokrąg stawał się coraz krótszy: wreszcie słońce zaszło, zrobiła się noc, gwiazdy zamigotały niewyraźnie na niebie, a my ciągle jechaliśmy naprzód. Góry były jednak widocznie dalej, niż się zdawały.

O północy muły poczęły kwiczeć i opierać się, w godzinę zaś później tabor stanął, bo większa część zwierząt pokładła się na ziemię. Ludzie próbowali je podnosić, ale nie było sposobu. Całą noc nikt oka nie zmrużył. Przy pierwszych promieniach świtu, wzrok nasz poleciał chciwie w dal i... nie znalazł nic... Czarna żałobna pustosz ciągnęła się jak okiem sięgnąć, jednostajna, głucha i odrzynająca się surową linją od widnokręgu; — gór wczorajszych nie było śladu.

Ludzie osłupieli, mnie zaś złowróżbny wyraz: „fata-morgana“ objaśnił wszystko, ale zarazem przejął dreszczem do szpiku kości. Co było robić? iść dalej? A jeśli ta spalona płaszczyzna ciągnie się jeszcze przez setki mil? — wracać? a nuż tam za kilka mil koniec pożarnego szlaku? — zresztą, czy muły zdołają jeszcze zrobić tęż samą drogę napowrót? Nie śmiałem prawie sięgnąć okiem do dna tej przepaści, nad której brzegiem staliśmy wszyscy. Chciałem jednak wiedzieć, czego się trzymać. Siadłszy więc na koń ruszyłem naprzód i z pobliskiego wzgórza objąłem wzrokiem szerszy widnokrąg. Z pomocą lunety, dojrzałem w dalekości jakieś pasma zielone, gdy jednak po godzinie drogi dotarłem na miejsce, okazało się, że była to tylko kałuża, przy której brzegach ogień nie zdołał strawić zupełnie zielska — spalona płaszczyzna szła dalej, niż wzrok i szkła. Nie było rady! Należało cofnąć tabor i objechać pożogę. Tym celem zwróciłem konia. Spodziewałem się zastać wozy na tem samem miejscu, gdziem je zostawił, albowiem dałem rozkaz by mnie czekano.

Tymczasem nie usłuchano już rozkazu. Ludzie popodnosili muły, i tabor szedł dalej. Na pytania moje odpowiedziano mi ponuro: „Tam są góry! i tam pójdziemy!“ Nie próbowałem się nawet szamotać, bom widział, że nie ma siły ludzkiej, któraby powstrzymała tych ludzi. Byłbym może sam wrócił z Lilian, ale nie było już mego wozu, a Lilian jechała z ciotką Attkins.

Szliśmy więc naprzód. Nadeszła znowu noc, a z nią przymusowy odpoczynek. Nad zwęglonym stepem zeszedł wielki czerwony księżyc i rozświecił dal, zawsze równie czarną. Nazajutrz rano połowa tylko wozów mogła wyruszyć, bo od reszty pozdychały muły. Upał był w dzień straszny. Promienie, wchłaniane przez węgiel, przesycały ogniem powietrze. W drodze jeden z naszych chorych umarł w strasznych konwulsjach — i nikt nie zajął się jego pogrzebem. Położyliśmy go na stepie i pojechali dalej. Woda w wielkiej kałuży, przy której byłem wczoraj, orzeźwiła na chwilę ludzi i zwierzęta, ale nie mogła im wrócić sił. Muły od trzydziestu sześciu godzin nie uszczknęły już ani dźbła trawy i żyły tylko słomą, wyciąganą z wozów, ale i tej już brakło. Jakoż dalszą drogę znaczyliśmy ich trupami a trzeciego dnia pozostał tylko jeden, którego wydarłem przemocą dla Lilian. Wozy, a w nich narzędzia, które miały nam dać chleb w Kalifornii, zostały na tej potępionej po wszystkie wieki pustoszy. Wszyscy z wyjątkiem Lilian szli już piechotą. Wkrótce nowy wróg zajrzał nam w oczy: głód. Część żywności pozostała w wozach, to zaś, co każdy mógł udźwignąć, zostało zjedzone. Tymczasem koło nas — prócz nas — nie było żadnej żywej istoty. Ja sam tylko w całym taborze miałem jeszcze suchary i szmat solonego mięsa, ale chowałem je dla Lilian i gotów byłem rozerwać w szczątki każdego, ktoby się o tę strawę był u mnie upomniał. Sam także nie jadłem. A ta straszna płaszczyzna ciągnęła się bez końca. Jakby dla powiększenia naszych mąk, w południowe godziny fata-morgana grała znów na stepach, ukazując nam góry, lasy, jeziora. Ale noce jeszcze były straszniejsze. Wszystkie promienie, jakie w dzień ukradły słońcu węgle, wychodziły z nich w nocy, paląc nasze nogi i napełniając spiekotą gardła. Takiej to nocy jeden z naszych ludzi dostał pomięszania zmysłów i, siadłszy na ziemi, począł się śmiać spazmatycznie, a straszny śmiech ten gonił nas długo w ciemnościach. Muł, na którym jechała Lilian, padł. Zgłodniali rozdarli go na kawałki w mgnieniu oka, ale dla dwunastu ludzi cóż to był za posiłek! Upłynął dzień czwarty i piąty. Ludziom z głodu porobiły się twarze jakieś ptasie, i poczęli spoglądać nienawistnie na siebie. Wiedzieli, że ja mam jeszcze żywność, ale wiedzili także, że zażądać odemnie jednej kruszyny to śmierć, więc jeszcze instynkt życia przemagał nad głodem. Karmiłem Lilian tylko nocami, by ich nie wściekać tym widokiem. Ona na wszystkie świętości zaklinała mnie, bym się z nią dzielił, ale zagroziłem jej, że w łeb sobie strzelę, jeśli choć wspomni o tem, więc jadła, płacząc. Jednakże umiała jeszcze ukraść mej baczności okruszyny, które oddawała ciotce Attkins i ciotce Grosvenore. A tymczasem głód żelazną ręka targał i moje wnętrzności. W głowie paliło mnie od rany. Od pięciu dni nie miałem w ustach nic, prócz wody z owej kałuży. Myśl, że niosę chleb i mięso, że mam je przy sobie, że mogę jeść, zmieniła się w męczarnię. Bałem się przytem, że, jako ranny, mogę dostać obłędu i rzucić się na to jadło. „Panie! — wołałem w duszy — już przecie nie opuścisz mnie do tego stopnia i nie zezwierzęcisz, abym się miał dotknąć tego, co ją może utrzymać przy życiu!“ Ale nie było nademną wtedy miłosierdzia. Szóstego dnia rano ujrzałem na twarzy Lilian ogniste plamki; ręce miała rozpalone; idąc oddychała głośno. Nagle, spojrzawszy na mnie błędnie rzekła szybko, jakby się spiesząc w obawie, że utraci przytomność: „Ralfie! zostaw mnie tu; ratuj się sam, dla mnie już niema ratunku!“ Ścisnąłem zęby, bo mi się chciało wyć i bluźnić — i, nie rzekłszy nic, wziąłem ją na ręce. Ogniste gzygzaki zaczęły mi skakać przed oczyma w powietrzu i składać się w słowa: Who worshipped ank served the creature more than the creator!“ Ale jużem się odprężał, jak łuk, zamocno nagięty, i, spoglądając w niemiłosierne niebo odpowiadałem całą duszą zbuntowaną: „Ja!“

Tymczasem niosłem na moją Golgotę ten mój ciężar najdroższy, tę jedyną, świętą, ukochaną moją męczennicę. Nie wiem zkąd mi się brały siły. Stałem się nieczuły na głód, na upał, na zmęczenie, nie widziałem nic przed sobą: ani ludzi, ani spalonego stepu — tylko ją. W nocy stało się jeszcze gorzej. Traciła przytomność. Chwilami jęczała cicho: „Ralfie! wody!“ a ja, o boleści! miałem tylko solone mięso i suchary. W najwyższej rozpaczy rozprułem sobie nożem rękę, aby krwią własną zwilżyć jej usta, ale ona oprzytomniała nagle i, krzyknąwszy, wpadła w długie omdlenie, z którego, myślałem, że już się nie ocuci. Przyszedłszy do siebie, chciała coś mówić, ale gorączka mąciła jej myśli, więc mruczała tylko pocichu: „Nie gniewaj się, Ralf! ja jestem twoją żoną.“ Niosłem ją dalej, milcząc, bom już i zgłupiał z boleści. Nadszedł dzień siódmy. Sierra-Newada ukazały się wreszcie na widnokręgu, a tymczasem o zachodzie słońca światło mojego życia poczęło gasnąć także. Gdy zaczęła konać, położyłem ją na spalonej ziemi i sam klęknąłem przy niej. Oczy jej były szeroko otwarte, błyszczące i utkwione we mnie. Na chwilę zajaśniała w nich myśl przytomna. Wyszeptała jeszcze: „My dear! my husband!“ potem przebiegł ją dreszcz, strach wymalował się na twarzy — i umarła.

Zerwałem sobie bandaże z głowy, straciłem przytomność i już nie pamiętam, co dalej było. Jak przez sen jakiś przypominam sobie ludzi, którzy otoczyli mnie i odebrali broń, później jakby kopali grób, a jeszcze później pochwycił mnie obłęd i ciemność, a w niej słowa ogniste: „Who worshipped and served the creature more than the creator?!“

Obudziłem się w miesiąc potem już w Kalifornji, u osadnika Moszyńskiego. Przyszedłszy trochę do zdrowia ruszyłem do Newady, step tam porósł na nowo wysoką trawą i zazielenił się bujnie, tak, że grobu jej nie mogłem nawet odszukać i do tej pory nie wiem, gdzie leży jej zewłok święty. Com uczynił takiego Panu, że odwrócił odemnie oblicze swoje i zapomniał o mnie na tej pustyni — nie wiem także. Gdyby mi choć na grobie jej wolno było czasem popłakać — ot! lżejsze byłoby życie. Co rok jeżdżę do Newady i co rok szukam napróżno. Dziś upłynęły już od tych chwil strasznych lata całe. Nędzne wargi moje wymówiły już nieraz: bądź wola Twoja! ale źle mi bez niej na świecie. Człowiek żyje i chodzi między ludźmi i śmieje się czasem, a stare samotne serce płacze tam, i kocha, i tęskni, i pamięta...

Stary jestem, i niedługo w inną, wieczystą podróż mi się wybierać, o to więc tylko Boga jeszcze proszę, abym na onych stepach niebieskich odnalazł moją niebieską i nie rozłączał się z nią już nigdy.

KONIEC.

SZKICE PEDAGOGICZNE

JULJANA OCHOROWICZA.

II.

Ciekawość dzieci.

Ciekawość dzieci bywa zwykle uważana za wadę tylko, ale taka jednostronnie jest szkodliwą, ponieważ ciekawość występuje w zasadzie jako nieunikniona i pożądana cecha szybkiego rozwoju umysłowego, i tylko przez zły kierunek, albo zupełny brak kierunku i przymiotu staje się wadą.

Szybki rozrost i rozwój zmysłów, o ile sam wypływa z ich czynności, o tyle i sam narządy te do czynności pobudza; nadto wrażenie, jako pobudki, mają zadanie dwustronne, pobudzają bowiem i myśl i ciało zarazem, a to ich podwójne znaczenie wyradza naturalną *potrzebę wrażeń* dla organizmu, zarówno pod względem duchowym, jak i cielesnym. Jednym zaś z wyników, szczegółowych takiej ogólnej *potrzeby wrażeń jest ciekawość.*

Jako wynik potrzeby wrażeń nie jest jednak ciekawość dziełem zmysłów lecz rozumu. Dopiero przez udział tego ostatniego, a więc wyobrażeń i pojęć, wyradza się potrzeba, która już nie jest wprost zmysłową potrzebą wrażeń lecz umysłową potrzebą pewnych wyobrażeń i pojęć, dążeniem do ich zdobycia.

Zrozumiemy lepiej rolę ciekawości w umyśle, zastanowiwszy się nad jej genezą.

Dopóki tylko zmysły są czynne, dopóki z śladów przez ich działanie pozostałych nie utworzyły się pewne asocjacje czyli kojarzenia wyobrażeń, dopóty o przejawie ciekawości nie może być mowy. Asocjacje jednakże nigdy nie pozostają w spoczynku, i z tych, które się już utworzyły, tworzą się nowe. Z razu głównie na zasadzie *współczesności* i *następstwa.* Weźmy przykład: dziecko zna powierzchownie pokój, w którym stale się bawi, zna mniej więcej od środka uważany układ ścian i rozkład mebli, ale z przyczyn, które wykryła psychologja, zna je bardzo niedokładnie, gdyż zdolność oceniania przestrzeni niedosięganych dotykaniem bardzo powolnie się rozwija. Jednem słowem dla niemowlęcia, po za miejscem, na którem się bawi, kryje się mnóstwo tajemnic, mnóstwo braków i niejasności w związku wyobrażeń odnoszących się do przedmiotów współcześnie lub następczo widzianych. Właściwością zaś umysłu jest, że wszelkie *różnice jasności* wyobrażeń budzą jego czynność. Zarówno więc punkt świecący na tle ciemniejszem, jak i kąt ciemny na jaśniejszem tle przez pośrednictwo zmysłu działa pociągająco na umysł i to pobudzanie, to pociąganie myśli wyrażające się wewnętrznie jako *pragnienie poznania,* nazywamy ciekawością. Dziecko więc mocą tej pobudki wewnętrznej będzie się starało zapełnić braki swoich wyobrażeń, przybliżyć się do tajemniczego kąta, wszystkiego dotknąć, wszystko obejrzeć a jeśli można posmakować nawet.

Z chwilą gdy do poprzednich asocjacji zaczynają się przyłączać wyższe ich stopnie, a mianowicie, gdy po bliższem zapoznawaniu się z pewną ilością przedmiotów, dziecko zacznie w nich upatrywać *podobieństwo i różnicę,* gdy przez powtarzanie się skojarzeń następczych ustali się w jego umyśle jakie takie pojęcie, *początku i końca* (np. laski, poręczy), jakie takie pojęcie liczby (np. wielu orzechów i jednego orzecha, wielu schodków i jednego schodka); gdy wreszcie zacznie upatrywać między następstwem przedmiotów pewien związek *przyczynowy,* a chociażby stały tylko — wówczas owe braki w łańcuchu skojarzeń odkrywają się bezustannie i przybierają formę pytań: a zkąd? a dokąd? ile? dlaczego?

Każdy kijek wzięty do ręki musi być obejrzany aż do końca, samo dotknięcie ręką poręczy obudza chęć przesunięcia jej aż na dół, każdy dół wzywa do zmierzenia jego głębi; płynąc łódką, dziecko mierzy kijkiem jej głębokość, widząc obraz musi koniecznie dotknąć go palcem, widząc płyn we flaszce musi smak jego spróbować, a postępując w ten sposób dopełnia tylko ogniwa asocjacji których brak uczuło.

Z dalszym rozwojem, ciekawość przybiera coraz bardziej czysto rozumowy charakter. Przyczyna i skutek stają się główną osią obrotu dla budzącego się rozumu: „Mamo! dla czego młynek się kręci?“ „Tatku! dla czego grad pada?“ tego rodzaju pytania nie mają końca, a do nich przyłączają się i inne jeszcze, takie: dla czego koń nie spiewa? albo: dla czego ciocia nie ma wąsów? — Dla pedagoga jest to epoka próby ogniowej; jeśli z niej wyjdzie zwycięzko, to znaczy, jeśli zgodnie z wymaganiami teorji nie przytłumi dziecinnej ciekawości, lecz tylko odpowiedni nada jej kierunek, jeśli zdoła na wszystkie rozsądne pytania zrozumiale odpowiedzieć, a w nierozsądnych niedorzeczność ich wykazać, jeśli wreszcie przytem wszystkiem nie wyczerpie swej cierpliwości i nie skarci zbyt surowo nadmiernej gorliwości młodocianego filozofa, to może sobie powinszować, że spełnił jedno z najtrudniejszych zadań pedagogji. Zasady postępowania w tym względzie, muszą być następujące:

1. Jak najmniej pytań pozostawiać bez odpowiedzi, i tylko wtedy gdy widocznem jest, że dziecko przez zbytki tylko a nie przez żądzę wiedzy zasypuje nas pytaniami, ukrócić tę pustotę. Niekiedy zaś nawet, jeśli ich jest za wiele, odłożyć wyjaśnienie dalszych na później, ażeby z odpowiedzi choćby najtrafniejszych nowy chaos w myśli dziecka nie powstał.

2. Ile możności jak najmniej wykładać, jak najwięcej naprowadzać przez okazy, przykłady i pytania, ażeby dziecko samo mogło własnem myśleniem ciekawość swą zaspokoić.

3. W objaśnieniach nie starać się o gruntowność, dla umysłu dziecka niedostępną, lecz poprzestać na grubem, byle jasnem i nie fałszywem przedstawieniu związków.

Jeżeli, jak się to często zdarza, na wszelkie swoje pytania dziecko odbiera tylko odpowiedź: nie nudź mnie, nie wdawaj się w nieswoje rzeczy: albo głuptaś jesteś—to nic dziwnego że samo sobie radzi jak może, i że np. nie mogąc się dowiedzieć dlaczego bęben bębni albo trąbka trąbi, ucieka się do eksperymentu i palcem przebija bębenek, a trąbkę rozłamuje na kawałki. Należy więc zwracać uwagę na tę żądzę dowiedzenia się wszystkiego, gdyż psucie zabawek, zaglądanie do biurka, do kredensu i t. p. mogą mieć z razu tylko tę niewinną przyczynę. a zaniedbane, łatwo zamienią ją na marnotrawstwo, chciwość, a nawet skłonność do kradzieży.

Obok tej ciekawości rozumowej, która oczywiscie może być tylko pożądaną dla nauczyciela, występują także inne jej rodzaje, przeciwnie potępienia godne. Ciekawość naprzykład dotycząca stosunków osób starszych, ich prywatnego życia, dopytywanie się o to wprost, albo przez sługi, winno być najsurowiej karcone, jako prowadzące jedynie do plotkarstwa, które zwłaszcza u dziewcząt, mniej czynne wiodących życie, łatwo w namiętność przechodzi.

Nie potrzebujemy dodawać, iż wiele innych rodzajów ciekawości, np. dopytywanie się ile co kosztuje, przez kogo darowane i w ogóle wtrącanie się z pytaniami do rozmowy starszych, jakkolwiek nie stanowią już wad charakteru w znaczeniu moralnem, ale jako niedyskretne u starszych nieco dzieci uważane są już słusznie za brak wychowania. Toż samo da się powiedzieć o ciekawości bezmyślnej przejawiającej się bezustannem patrzeniem w oczy i na ręce, włóczeniem się za starszemi, podsłuchiwaniem rozmów i oglądaniem wszystkiego co kto z sobą przyniesie, jak jest ubrany, a nawet co ma w kieszeni, takie więc przyzwyczajenia należy wytępiać, zwłaszcza że one stanowią bardzo przyjazny grunt dla rozwinięcia się gorszych jeszcze skłonności: do szpiegowania umyślnego, otwierania cudzych listów, do krytykowania biedy ludzkiej, i żebraniny podarunków. Często zaś nierozważna dyskusją nad toaletą gościa, który dopiero co wyszedł, podtrzymuje się w dzieciach tę naturalną choć pustą ciekawość i zwłaszcza u dziewcząt pochopnych do sądzenia z estytyki pozorów, wyradzają się machinalnie różne późniejsze formy lekkomyślności.

Nareszcie musimy dodać, że do oznak dobrego wychowania, należy w ogóle miarkowanie się we wszystkich *zewnętrznych* objawach ciekawości, a więc natręctwo pytań, rzucanie się i rozpychanie w obec jakiegokolwiek widowiska, włażenie na stołki i na kolana obcych dla lepszego zobaczenia — wszystkie te tak pospolite u żywych dzieci skłonności, dadzą się łatwo pohamować przy odpowiednim kierunku całej, powierzchownej że tak powiem edukacji.

ŻYCIE LITERACKIE

W STAROŻYTNYM RZYMIE.

SZKIC LITERACKI

przez

Stanisława Wegnera.

(*Dokończenie*).

Rozróżniać trzeba od nich właściwe retoryczne odczyty, albo tak zwane deklamacje. Za czasów republiki i w pierwszem stuleciu cesarstwa były one w ścisłym związku ze szkołą, choć niekiedy odwiedzali je słynni mówcy, jak sam Cicero.

Dopiero kiedy odczyty poetów i literatów swą przyciągającą siłę utraciły i z mody wyszły, zaczęto produkować się publicznie z świetnymi sztuczkami i wprawą oratorską przed szerszą publicznością i usiłowano nadać im przez mistyczne nieraz zmysłone opracowanie improwizowanych spraw i upstrzonych kwestji pewien czar sztuczny. Temi oratorskiemi przedstawieniami późniejszych czasów nie będziemy się na tem miejscu zajmowali, ponieważ nam tylko o właściwe literackie odczyty i ich rozpowszechnienie w życiu codziennem Rzymian chodzi.

Osobista łaska i wyszczególnienia, hojne wsparcia, jakie odbierali duchem bożym natchnieni poeci wieku Augusta od możnych i bogatych, ogromna popularność ich wśród ludu rzymskiego nie pozwoliły i drugim spoczywać.

Oznajmieni z prawami stopy miarowej i z poetami czasów dawniejszych i nowszych, uważali się bogaci i ubodzy, potężni i nisko postawieni za powołanych do zostania poetami i do walczenia o wieniec laurowy. Poezja weszła nie tylko w modę, ale obrabiano ją fanatycznie, bogacze z próżności i braku innego zajęcia,

*

nbodzy w nadziei honorarjów od księgarzy i opieki od możnych, którzy chcieli być chętnie opiekunami literatury i znawcami, w widoku więc zarobku dobrych obiadów i czci.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że te publiczne odczyty tak się rozpowszechniły, że aż się plagą towarzyską stały, obok której tylko warjackie odczyty bogatych rymorobów postawić można, których łaskę i gościnność trzeba było okupywać ofiarą przysłuchiwania się ich nędznym wierszydłom.

Już Horacy chłoszcze poetę napierającego się o wysłuchanie jego wierszydeł w dwóch ostatnich wierszach swej sztuki poetyckiej:

Ale gdy kogo schwyci, tego na śmierć on zaczyta,
Tak jak pijawka, która nie chce odczepić się skóry.

Satyryczne opisy takich wierszokletów Martialisa, którzy się częstokroć nie wstydzili deklamować cudzych utworów i podawać ich za swoje, rzucają doskonałe światło na zamięszanie poetyckie owych czasów. Poucza bowiem takiego wierszokletę, którego nazywa Sigurinem, dlaczego nikt go nie znosi i powiada:

Czytasz mi czyli stoję ja czy siedzę,
Latam, czy siedzę gdzie w ukrytem miejscu,
Ścigasz do łaźni i tam głos twój słyszę,
Nad staw ucieknę, pływać nie pozwolisz,
Dążę na obiad, ty mnie zatrzymujesz;
Siedzę przy stole, odpędzasz od jadła.
Zasypiam smacznie, ty znowu mnie budzisz.
Jesteś zacny, niewinny, jednak unikany!

W innym epigramacie mówi Martialis do tegoż Sigurina jak następuje:

Czy od stołu i uczty Thyesta Febus uciekał,
Nie wiem, lecz my Sigurynie od twego stołu zmykamy!
Bogato jest on zastawiony wybornemi potrawy,
Lecz nie miło nam zasiąść, bo recytujesz nam przy nim,
Nie drażni mnie tam flondra, ani bandera funtowa,
Ni ostrygi, ni grzyby — ale cię proszę: umilknij!

Ale któżby chciał wyliczać wszystkie te, czasami bardzo drastyczne sceny, które satyrze współczesnych tak pysznego dostarczały materjału. Tyle można już wnieść z tych kilku cytat, że odczyty publiczne nie były przeznaczone do popularnego pouczania, ale z małemi wyjątkami były środkiem do reklamy dla poetów, o którą się też i gmin poetycki gorliwie dobijał. Próżność albo nadzieja szybkiego pokupu, jakiego dzieła jeżeli próbka z niego przy odczycie oklask słuchaczy znalazła, nęciły do urządzania takich publicznych odczytów.

Znaczne koszta, uciążliwe kłopoty ciążyły na przedsiębiorcy. Jeśli nakoniec na ten cel pozyskano salę lub portyk, trzeba było nacierać na wszystkich, okupywać nie tylko klakerów, ale i słuchaczy czasami dla zapełniania miejsca; trzeba było urządzać trybuny, ustawiać wywyższenie dla odczytującego, a do tego kłopot o udanie się! Ponieważ poezja poruszała się w mało znacznych drobnostkach z obficie już wyeksploatowanego pola mytologji i podań bohaterskich, trzeba było pozyskiwać uwagę słuchaczy nawet w lżejszej poezji tylko za pomocą niespodzianego nowego obrobienia znanego już przedmiotu albo przez mamiące zalety formy jako też deklamacji.

Na zewnętrzych okolicznościach zależało naturalnie bardzo wiele, pojawienie się deklamatora, jego organ musiały imponować albo elegicznie nastrajać. Ubiór, postawa winne były być bez nagany, bacznie robiono wszelkie przygotowania w tym względzie, jak to wybornie opisuje satyryk Rossjusz:

Wiersze i prozę w samotnej piszę celi,
Coś wzniosłego, coby z pełnej piersi brzmiało,
Kiedy przed ludem, z fryzurą i w nowym kostiumie,
Z pierścieniem z sardonym w całej paradzie,
Na wysokiem czytamy miejscu i miękkie tony
Z gardła dobywamy, oko baczne przekrzywiamy!

Ale choć odczytujący jak najbardziej się krzątał, choć nawet sala według życzenia była zapełnioną, nie był jeszcze pewnym powodzenia.

Pomyślmy tylko, że odczyty te stały się prawdziwą plagą, np. w najpiękniejszym pod włoskiem słońcem miesiącu kwietniu, jak Plinius mł. opowiada, ani jednego dnia nie było bez odczytu, dalej jak Martialis zapewnia cały dzień trzeba było słuchać poetów; rozważmy monotonność przedmiotu a pojmiemy łatwo, że publiczność, choć miała kilku ze swych ulubieńców, ale w ogóle nie wiele miała zapewne cierpliwości i ochoty do słuchania, przeciwnie, często do złośliwości i skłonności do ganienia i dowcipków.

Przy powszechnej znajomości stopy miarowej i deklamacji było zapewne tylu sędziów, co słuchaczy, a do tego i takich, co nie byli usposobieni do pobłażania.

Najmniejszy błąd w wymowie, miarze wierszy albo intonacji, albo niestosowny gest mógł popsuć wszystko, a nie rzadko dawały nieznaczne przypadki pochop do humorystycznej zemsty ze strony nudzących się słuchaczów.

„Priscusie każesz opiewać“, zaczyna poeta odczyt, wtedy zawołał jeden ze słuchaczy zowiący się Priscus: „Ale Priscus tego nie chce!“ a grzmot śmiechu, następujący po tem intermezzo zniszczył całe powodzenie. Innemu poecie, odczytującemu elegiczny poemat, wypłatał jak opowiada retor Seneka, obecny tam mowca obdarzony olbrzymią pamięcią, żart taki, że nazwał recytatora uczonym złodziejem (plagiarius). Na dowód odrecytował cały ów poemat bez błędu z pamięci, czego rzekomy autor dokazać nie potrafił. Mimo tych i tym podobnych scen nie zmniejszała się jednak liczba odczytujących, mianowicie w pierwszych dwóch wiekach cesarstwa.

Jeśli Horacy, Wirgil i inni wielcy poeci w ten sposób muzy swej ludowi nie wydawali i o poklask jego nie dbali, nie mogli jednak później nawet szanowani poeci jak Stacjusz Juvenalis itd. pominąć tej drogi do popularności i sławy. Nie trzeba też zapominać, że takie odczyty najbardziej były stósowne do szybkiego zapoznania publiczności z nowymi utworami i księgarskie rozpowszechnienie tychże popierały. Jednem słowem, odczyty te były osobliwszym i zapewne skutecznym środkiem literackiego życia i rozpowszechnienia literackiej sławy w starożytności.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(*Ciąg dalszy.*)

XIV.

Rozmaite bywają usposobienia ludzkie, jak to w każdej okoliczności życia naszego z łatwością zauważyć można, tak dalece, że prawda, od której niniejszy rozdział naszej powieści rozpoczynamy, wydać się może nie jednemu czytelnikowi oklepanym i zbytecznym zupełnie komunałem.

Nie myślimy jej bronić ani twierdzić, żeśmy ją pierwsi ku zdumieniu czytającego świata wypowiedzieli. Przytoczyliśmy ten aksjomat jedynie dlatego, żeśmy chcieli zwrócić uwagę na usposobienie hrabiego Gustawa, różne pod pewnym względem od usposobienia wielu zdobywców serc niewieścich.

Jak bywają ludzie, którym łatwo wchodzić na górę, a niełatwo z niej schodzić, i znowu inni, którzy z wszelką łatwością na szczyty się drapią, a schodzą z wielką trudnością, tak bywają zdobywcy, serc którym niezmiernie łatwo zawiązać intrygę romansową, a bardzo trudno ją skończyć, i bywają bohaterowie romansów wprost przeciwnego usposobienia.

Hrabia Gustaw należał do tych ostatnich. Początek jego romansu z Natalją dowodził, że zawiązywanie intryg tego rodzaju przychodziło mu z wielkim mozołem. Mimo świetnego stanowiska, własnych powierzchownych zalet, wielkiego majątku, feljetonistów na rozkazy, oraz Panteleckiego i innych jemu podobnych do usług, hrabia musiał używać środków, które w książkowych tylko praktykują się romansach, ażeby w sobie rozkochać Natalję. Kto inny byłby tego z pewnością dokazał daleko prędzej i mniej spotrzebowałby na to melodramatycznych przyborów, ale wątpimy czy kto inny zdołałby równie zręcznie nić zerwanej intrygi zawiązać na nowo, i doprowadzić do tego, że kobieta kiedyś obrażona śmiertelnie, następnie żona innego, mająca poczucie swojej godności, mająca szczery szacunek, niekłamane przywiązanie i wdzięczność, jeśli nie miłość dla męża, pani domu, w którym odbywał się bal, zdołała zapomnieć tak dalece o obowiązkach już nie żony, ale gospodyni, i dała się wprowadzić do ustronnego pokoju, aby tam słuchać gruchań o miłości.

Hrabia Gustaw dokazał tego... zabrał Natalję jej gościom, zabrał ją jej mężowi i w bocznym pokoju, jedną tylko lampą oświetlonym, w rozkosznym półcieniu, szeptał jej w ucho słowiczym głosem namiętnego kochanka.

Natalja słuchała. Szańcem który ją zasłaniał było to, że słowa hrabiego przynajmniej w połowie starała się obrócić w żart...

Wspomnienie obrazy, jakiej od tego samego człowieka doznała za swoich panieńskich jeszcze czasów, zatarło się w jej umyśle zupełnie — kwiat zapomnienia dowiódł, że mu tego nazwiska nie dała daremnie.

Oprócz owego szańca, o którym wspomnieliśmy, broniła jej jeszcze naiwność. Pani Rzewnicka znała życie salonowe więcej z opisów niż z rzeczywistości. Za panieńskich czasów pochłonęła dziesięć czytelni i nakarmiła swoją wyobraźnię dwoma tysiącami romansów, których ledwie może dziesiąta część nie była pisaną po francusku lub tłómaczoną z francuskiego. I pomiędzy temi romansami, których intryga wikłała się i rozplątywała w Paryżu, nie było prawie ani jednego, w którymby jakiejś mężatce na balu, w cudzym lub w jej własnym domu, jakiś zakochany przyjaciel męża nie szeptał do ucha słów miłosnych.

Natalja zatem brała swoje położenie za zupełnie normalne. Słuchała, bo słuchały wszystkie znane jej bohaterki, i słuchać było jej przyjemnie tak jak im było przyjemnie. Gdyby gruchania hrabiego streściły się w jakąś stanowczą konkretną, że tak powiemy, propozycję, ucieczki, schadzki, rozłączenia się z mężem albo czegoś podobnego, Natalja byłaby postąpiła jak jedna z bohaterek takiego romansu. Zawołałaby:

— Panie hrabio!...

Hrabia naturalnie musiałby odpowiedzieć:

— Pani!...

— Powiadasz pan, że mnie kochasz!...

— Nad życie!... nad pojęcie!...

— A więc...

Głos Natalji malowałby naówczas całą bezdenną głębię jej wzruszenia. Powiedziałaby uroczyście:

— Wyjedź pan!...

I byłaby najmocniej przekonaną, że hrabia usłucha i wyjedzie.

Zdawało jej się, że w Paryżu jest jak w romansie, w Warszawie jak w Paryżu i że jej salon jest paryzkim salonem.

Mąż przeszedł przez pokój, w którym rozmawiała z hrabią. Nie zmięszało jej to bynajmniej. Gdyby się ukazał kto inny, nie byłaby zmieszaną także. To przecież rzecz tak naturalna, że dama na balu udziela na kozetce w ustronnym pokoju posłuchania jednemu ze swych wielbicieli!

Nikt przecież nie wchodził tam więcej, choć był ktoś co śledził wszystko. Była to Nina.

Od przyjścia swego na bal, nie straciła z oka hrabiego, nie uszedł jej uwagi żaden z używanych przez niego manewrów. Zajmowała się nim więcej nawet niż lordem Philibegiem, o którego na zebraniu u państwa Rzewnickich była najzupełniej spokojną. To było przyczyną, że wkrótce po przejściu Emila przez pokój w którym żona jego hrabiemu Gustawowi udzielała audjencji, baronówna znalazła się przy portjerze tego pokoju, niby przypadkowo zupełnie, i dzięki tej portjerze, mogła widzieć i słyszeć wszystko nie będąc widzianą i słyszaną.

Słuchała — cała zamieniła się w słuch. Słyszała wszystko, słyszała więc tyle, że zakład z hrabią powinnaby uznać za wygrany przez hrabiego, gdyby... gdyby nie brakowało jednego jeszcze warunku, gdyby całą tę rozmowę mógł słyszeć również świat, albo ten, nad którym pomścić się chciała.

Swiata wołać było trudno, Emil przychodził sam.

Wyszedł ze swojej kasy, ściskając pugilares w ręku. Był blady, pomięszany, wyraźnie przechodził chwilę okropnego niepokoju.

Nina patrzyła na niego ciekawie. Była pewną, że nie może nie rzucić okiem w stronę żony i gruchającego z nią Gustawa, a wtedy zmieni się wyraz jego oblicza, z ócz tryśnie piorun i może... może wywiąże się z tego jakaś scena tragiczna.

Oprócz lorda Philibega, pałacu Pogromskich i ojcowskiego majątku, oraz swego tytułu, mało było podobno rzeczy na tym świecie, którychby baronówna nie oddała za możność ujrzenia tego pioruna, za bycie świadkiem tej sceny.

Ale Emil choć rzucił okiem w stronę żony, nic nie widział i nic nie słyszał... wzrok miał czem innem zamglony.

Zbliżył się do portjery i otarł się o szeleszczącą jedwabną suknię Niny.

Byłby może i jej nie spostrzegł, gdyby Ninie nie przyszło na myśl dopomódz przypadkowi.

— A! kuzynek — zawołała — jak to dobrze... szukam pańskiej żony... chciałam pomówić... zdaje mi się że jest tam w tym pokoju...

— Tak sądzę...

— Z hrabią Gustawem... — dodała wyraźnie i z naciskiem.

— Nie uważałem.

— Nie wiem czy nie przeszkodzę...

— Oh! czyż podobna...

— Zaprowadź mnie pan do niej...

— Służę pani.

Dopełnił jej życzenia machinalnie i postawiwszy ją przed Natalją odszedł pośpiesznie.

Baronówna zamieniła z panią domu kilka słów, potem przeszli we troje do innych pokojów, i hrabia po raz pierwszy tego wieczoru pominąwszy swoją ciągłą tancerkę, puścił się z nią w wir walca.

— *Avez-vous entendu?* — zapytał

— *Presque tout* — odpowiedziała szczerze.

— *Je crois que cela devrait suffire*, wygrałem zakład.

— *Oh! pas encore..* wyznaję, żem panu pomagała trochę... umyślniem go przyprowadziła... ale... to ślepy człowiek...

— Cóż ja na to poradzę?

— To rzecz pańska...

Tymczasem Emil odszukał lorda Philibega i oddał mu pugilares, który przyniósł ze swej kasy.

Szlachetny albjończyk wziął go i schował do kieszeni nie oglądając. Raczył tylko arystokratycznemi swemi usty wyrzec podziękowanie.

— *I thank your.*

W pół godziny potem opróżniły się salony państwa Rzewnickich, choć cały tłum w nich jeszcze został. Opróżniły się, bo im zabrakło gwiazd, Nina, bankier M S. Floh i wspólka, lord Philibeg, Narcyz, hrabia Gustaw, feljetonista i parę innych osób opuściło zebranie.

Mimo to zabawa przeciągnęła się do rana. Złośliwi, lubiący wszystko komentować i na wszystko zwracać uwagę, zauważyli, że pani Natalja była rozmarzona i wpadała w jakieś zadumy, nie zawsze trafnie odpowiadając na to, o co ją zapytano, i że sam pan Rzewnicki przez kilka ostatnich godzin nie znajdował się na swym balu.

Szczęście, że nikt nie wyśledził, że był przez ten czas w swej kasie, zamknięty na klucz. Siedział przy stole, głowę wsparł na obu rękach i patrzył nieruchomym wzrokiem w książkę rachunkową.

Od czasu do czasu powtarzał półgłosem:

— Jeżeli list pieniężny lorda Philibega się spóźni... jestem zgubiony!...

Powtarzamy, że szczęście, iż nikt nie mógł tego podpatrzeć. Gdyby to zobaczono, otworzyłoby się pole do jeszcze gorszych szeptów i domysłów.

Zaduma ta i to nieruchome wpatrywanie się w księgi, zdradzały rozpaczliwą sytuację banku Emila. Nie zbankrutował on jeszcze materjalnie, moralnie był już bankrutem. Znać było po nim, że przez trzy dni, które mu jeszcze do terminu wekslu pozostawały, nie wymyśli środka ratunku.

Gdy go przestały dobiegać dźwięki muzyki z salonu, wstał od ksiąg, zgasił światło i rzucił się w ubraniu na kanapę.

XV.

Dzień następny był dniem pamiętnym w rocznikach towarzyskiego życia Warszawy.

Stał się dnia tego fakt, który wszyscy przewidywali od dość dawna, a który przecież przyjęto jakby jakąś najniespodziewańszą nowinę.

Lord Philibeg udał się do pałacu Pogromskich, i poprosiwszy barona, ażeby z nim pomówił na osobności, w krótkich wyrazach oświadczył życzenie wejścia w posiadanie ręki jego córki.

Baron uważał za stosowne wyrazić największe zadowolenie, jakiem go ten zaszczyt przejmuje i objawić lordowi swe zezwolenie, zapewniając go zarazem, że propozycja przez osobę głównie interesowaną będzie niewątpliwie przyjętą.

Na tem nie skończyła się rozmowa.

Dostojny lord zabrał głos znowu i oznajmił, iż pragnie, ażeby związek ten zawartym został jak najspieszniej, interesa bowiem majątkowe powołują go do Anglji, gdzie chciałby zaraz po ceremonji ślubnej zawieść milady.

Zgodzono się na to bardzo chętnie i wyznaczono termin za dni trzy, czyli nazajutrz po zapowiedzianym koncercie, na który się wybierała cała Warszawa, ślub naturalnie miał się odbyć za indultem w pałacu barona. Baron zauważył że pod względem indultu mogą zajść niejakie trudności, gdyż panna jest katoliczką, a lord jako Anglik protestantem...

Lord Philibeg odparł na to, że jako szkot, kuzyn Stuartów i po kądzieli potomek Roberta Bruce, należy do rodzin, które nigdy nie zrywały z tradycjami katolicyzmu...

Położenie było więc o wiele ułatwionem i rozmowa mogła się skończyć, ale ją przedłużył ojciec Niny.

— Co się tyczy posagu mojej córki — rzekł — daję jej...

Lord Philibeg przerwał mu gestem.

— Nie żądam żadnego posagu — odrzekł wyniośle...

— W każdym razie nie mogę przecież córki dawać na koszt waszej dostojności, milordzie — zaprotestował pan Pogromski.

— Urządzisz pan jej interesa majątkowe jak będziesz chciał i kiedy będziesz chciał — odpowiedział lord — dla mnie to jest zupełnie obojętne i wcale w to mięszać się nie chcę.

Że piękna Nina sankcjonowała postanowienie ojca, że jej matka mało spazmów nie dostała z radości, że Narcyz w mgnieniu oka podrósł na dwa cale i że cały pałac Pogromskich przez dwa dni następne zajęty był przygotowaniami do wesela, zbytecznem byłoby dodawać.

Lord nie naprzykrzał się swej narzeczonej długiemi wizytami przedślubnemi, umówionem zostało, że ją zobaczy przed ślubem jeszcze raz tylko, w dzień zapowiedzianego

koncertu, ażeby się na ten koncert udać w towarzystwie przyszłej swej żony i rodziny.

Nadszedł nareszcie dzień koncertu i lord Philibeg, punktualny jak zegarek, stawił się na słowie.

Przyszedł z groomem, który niósł za nim ozdobną szkatułkę, w której jak się należało domyślać, znajdowały się podarki ślubne dla panny młodej.

Kazał jednak groomowi postawić szkatułkę na stoliku i iść na pocztę, a następnie przynieść mu listy.

Dopełniwszy tych formalności już w samym salonie, co się zebranej rodzinie Pogromskich trochę dziwnem wydało, co jednak policzono mylordowi na karb właściwej jego narodowi oryginalności, lord Philibeg pozdrowił dopiero przyszłą milady i jej rodziców.

Towarzystwo zasiadło i zaczęła się żywa rozmowa, w której lord Philibeg brał udział tylko monosylabami.

Nina zwróciła uwagę, że przyszły jej małżonek od czasu do czasu spoglądał na drzwi, i przewidywała że ma przygotowaną dla niej jakąś miłą niespodziankę.

Jakoż w istocie w półgodziny może wszedł groom.

— Milordzie — rzekł wchodząc.

— Są listy? — spytał krótko jego wysokość.

— Nie ma.

— Żadnego?

— Żadnego.

— Dobrze.

To powiedziawszy, milord spojrzał na zegarek.

Była godzina trzy kwadranse na szóstą. Wymienił ją półgłosem i dał znak groomowi, który on tylko jeden z obecnych zrozumiał.

Groom poszedł do stolika, na którym stała szkatułka, wziął ją i postawił przed milordem, poczem na nowe skinienie milorda skłonił się i wyszedł.

Lord Philibeg z największą flegmą wydobył z kieszonki od kamizelki złoty kluczek i powoli, systematycznie zaczął otwierać tajemniczą szkatułkę.

Wszyscy z zatrzymanym w piersiach oddechem oczekiwali rozwiązania zawartej w szkatułce zagadki.

Po podniesieniu wieka okazało się, że w szkatułce były dwa misternie rzeźbione wielkiego kalibru dwururne pistolety.

Lord z najzimniejszą krwią w świecie wyjął jeden z nich, przyjrzał mu się przez chwilę, następnie odwiódł oba kurki i skierowawszy broń morderczą ku sobie, otworzył usta i poniósł do nich pistolet.

Mgnienie oka jeszcze a byłby przycisnął sprężyny i wystrzelił.

Szczęściem Narcyz, który znajdował się tuż przy nim, zdołał pochwycić go za rękę, i odsunąć od ust jego samobójcze narzędzie.

— Co pan robisz? — zawołali jednocześnie baron Pogromski i Nina, a baronowa zasłoniła sobie oczy.

— Chciałem się zastrzelić — odpowiedział spokojnie, patrząc na obecnych jakby zdziwiony, że mu w najnaturalniejszej w świecie czynności przeszkadzają.

— Ależ panie... tu... u nas...

— Jeżeli w tym kraju w salonie nie wypada — odrzekł poważnie — w takim razie przepraszam... wyjdę do przedpokoju...

I podniósłszy się z fotelu chciał wyjść.

Cała rodzina Pogromskich gremialnie zastąpiła mu drogę.

— Gdzie pan idziesz?

— Zastrzelić się...

— Ależ to niepodobna... jakaż przyczyna?...

— *The spleen* — odrzekł krótko milord

— To niepodobna!... — przerwał baron — pana musiało spotkać jakieś nieszczęście...

Anglik zaprzeczył ruchem głowy.

— Jakżeż można w przeddzień ślubu?...

— Mój stryj sir Francis Philibeg, baronet i par Anglji zastrzelił się w chwili ślubu.

— To szaleństwo!

— *No, sir,* to zwyczaj... w Japonji rozpruwają sobie brzuchy, u nas...

— Szalony zwyczaj!... musi być przecież jakaś przyczyna tak nagłego postanowienia milordzie?

— Przyczyna jest...

— Jakaż?...

— Mówić nie warto, bagatela...

— I dla bagateli!... może z powodu nie przyjścia listów?

— *Yes sir...* to jest przyczyna.

— Ależ listy przyjdą jutro.

— Przyjdą...

— Więc można zaczekać...

— Nie można...

— W listach zapewne miały być pieniądze.

— Naturalnie.

— Pan masz zapłacić jakąś sumę dzisiaj?

— Naturalnie.

— Ile?

— Dziesięć tysięcy funtów.

— I nam nie mówisz... przecież stać nas na tyle...

— U nas nie jest zwyczajem mówić... tylko...

To mówiąc Anglik pchał się wcale niedelikatnie do przedpokoju.

— Trzymajcie tego półgłówka — wrzasnął baron Pogromski do obecnych po polsku — ja mu zaraz te pieniądze przyniosę...

I przewróciwszy parę krzeseł po drodze, pobiegł do swojego apartamentu z takim pospiechem, jakiego się zapewne jeszcze nigdy w swojem życiu nie dopuścił.

Tymczasem milord szarpał się na serjo i bez ceremonji z Narcyzem i kobietami, krzycząc że protestuje i że zaniesie skargę do konsula, że jego, wolnego obywatela i para Anglji, w tym kraju barbarzyńskim chcą pozbawiać osobistej wolności.

Nie zdołał jednak przebić się przez żywą z trzech osób złożoną zaporę, aż baron zadyszany powrócił:

— Oto jest — zawołał oddając mu paczkę banknotów — oto jest 62,000 rubli... szczęście że miałem tyle w domu.

Milord uspokoił się nagle. Wziął pieniądze, schował je do kieszeni nie licząc i odpowiedział spokojnie.

— *I thank your.*

Potem usiadł na fotelu, pistolet który wciąż trzymał w ręku włożył do szkatułki, zamknął szkatułkę, schował kluczyk do kieszeni i zawołał:

— *Groom!*

Chłopiec ukazał się na progu, i na znak milorda zabrał szkatułkę.

Po całej tej scenie lord Philibeg był taki, jakim się jest po wypiciu filiżanki czarnej kawy bez rumu.

Był tak samo sztywny jak zawsze i rozmawiał tak samo lakonicznie jak zwykle.

Gdy przyszła godzina wyjazdu na koncert, podniósł się pierwszy i podał rękę Ninie, która z obawą i zdziwieniem patrzyła na swojego oryginała narzeczonego, wprawdzie kuzyna Stuartów i potomka po kądzieli Roberta Bruce, ale zarazem synowca człowieka co się zastrzelił podczas swego ślubu.

(C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XVIII.

Tymczasem zachodzi zmiana w radzie awiniońskiej. Jak widzieliśmy ze świadectwa Mochnackich było ono główną sprężyną wywrócenia starego, a raczej ustalenia nowego komitetu. Mochnaccy począwszy się zbliżać do stronnictwa arystokracji, wystąpili przeciwko komitetowi najzajadlej. Zrazu stosunki ich były dobre. Nawet Chodźko wyjednywał komitetowe zapomogi w czasie choroby, a na wyjazd do wód Lelewel wystarał się u komitetu Lafayetowskiego przeszło 1000 franków. Jednak po nieprzyjęciu miejsc zaofiarowanych w eklektycznym komitecie, stosunki te się zmieniają na nieprzyjaźne. Pod wpływem Kamila Mochnackiego zostawała większość awiniońskiego zakładu, lecz po jego zamieszkaniu w Paryżu, po połączeniu z le Puy ta większość stała się mniejszością. Dla tego to w liście okólnym do Zakładów z 31 stycznia 1833 znajduje się: „Gdy teraz runął komitet J. Dwernickiego, tworzony przez delegaty, wybierać będziemy spólnie nowych członków podług wszelkich praw wyborów i słuszności.... U nas koterja osobistych widoków wnet kończy swoje panowanie, a my wszyscy bez opozycji, jednozgodnie przystąpimy do dzieła, w którem uczestnictwa wy prawie niemieliście pierwszy raz, gdzie uważając was absolutnie za mniejszość na walnym zjeździe w Borges, nie chciano czekać na waszego pełnomocnika.“ I na to pismo Józef *Czerski* i W. *Heltman* odpowiadają z 6 lutego w imieniu zakładu: „Sądzimy, że na nic nie przyda się poprawiać starą budowę na złych podstawach opartą, i że potrzeba utworzyć zupełnie nowy komitet i w tym celu projekt ogółu paryskiego, z niektórymi dodatkami przesłaliśmy do wszystkich zakładów, aby porobili swoje nad nim uwagi“.... W tem piśmie porusza się może po raz pierwszy tak publicznie sprawa rządu i władzy: „Nie chcemy komitetowi nadawać takiej władzy, jaką wy jemu przyznajecie, to jest, żeby mógł dowolnie, podług swego widzimisię przyjmować lub odrzucać projekta,

przez emigrację podawane; chcemy aby komitet był tylko wykonawcą woli emigracji i nigdy odrzucać nie mógł tego co ogół postanowił....“

Równocześnie od 1 lutego z komitetu Dwernickiego, złożonego z 11, występowali jeden po drugim członkowie. *Umiński* Jł., jeden z bardziej agitujących, (jak wówczas powiadano), napisał charakterystyczny list, do przewodniczącego: wypierając się własnego dzieła, „Przekonany, że urzędowanie o tyle tylko w oczach myślącego człowieka może mieć powabu i o tyle tylko można piastować urząd z godnością, o ile rzeczywiście odpowiedzieć zdoła tej części społeczeństwa, które nas do niego powołuje, rozumiem iż inaczej posiadać go, jest to raczej zwodzić siebie i łudzić się próżności marzeniami. Tem powodowany uczuciem, widząc że ciało emigracji jest tak zdezorganizowanem, iż wszelkie pojęcie władzy stało się jednej części obcemi, mniemałbym działać wbrew memu przekonania, gdybym dłużej pozostać chciał członkiem komitetu, do którego powołany zostałem..... samowolne postępowanie atoli, przywłaszczenie śmiesznością tylko okrytych znaczeń i nie wykonywanie w niczem bądź urządzeń, bądź zamiarów komitetu, wskazały mi, niestety! że wszelka moc moralna milczy, gdzie wykonawcza siła jej poprzeć nie może..... *mam honor uprzedzić... iż przestałem należeć do grona komitetu, którego istnienie bez najmniejszej korzyści dla emigracji próżnem się staje*“....

Ażeby pojąć to wystąpienie Umińskiego i jego wyjście z rozpadającego się komitetu Dwernickiego, dość przypomnieć co o nim mówi Chodźko*) w jednym ze swych listów: „Tak więc jeden z burzliwych między tylu burzliwymi intrygantami, rzuca się dzisiaj na wszystkich i na wszystko! Ten człowiek, który oczernił nasz komitet, który burzył delegację jenerałów, a dziś tak haniebnie opisuje dzisiejszy komitet, dla tego iż nigdzie nie był prezesem, iż nie mógł szafować kasami i przegrywać w karty, nie waha się pisać i podpisywać pismo, którego każdy ustęp przeciw niemu i dzisiaj się obraca.“

Widzimy zatem, że drugi komitet narodowy utworzony w październiku istniał dotąd tylko, dopokąd komitet Lelewelowski działał. Po rozpędzeniu zaś ostatniego wszystko aż do urządzenia i składu onego zaczyna się chwiać. Przyczyną tego była jego ujemność w zasadach. Jaśniej określając nie miał on żadnych zasad, mógł więc tylko trwać jako opozycja republikanizmu, wypowiadana przez pisma kom. nar. Skoro zaś działanie tamtego ustało, komitet Dwernickiego od razu musiał się przetworzyć.

Zaraz z *Chateauroux* (Szatoru) rada tamtejszego zakładu napadła na główną podporę komitetu październikowego — radę awiniońską: „Pisma starej rady awiniońskiej zasadzają się na prawniczych wybiegach, odwołując się ciągle do statutu ustawy organicznej, który dobrowolnie i podług swego widzimisię roztrząsa. Z gorzkiem uczuciem przyszłoby nam odsłaniać i narzekać na postępki rady awiniońskiej.... Runął już utwor rady awiniońskiej z podstaw swych delegacyjnych, pójdą jego śladem i czciciele, a na gruzach ich utworzona władza, mająca reprezentować całą emigrację, przyjąwszy zasady przez szczególne *Depôt* już wskazane, zaszczycona zaufaniem ogółu, przejęta ważnością włożonego na siebie obowiązku, odpowie zapewne zaufaniu waszemu.“

Niedość tego. Nowa rada awiniońska, po połączeniu z *Le Piui* (Puy), najbardziej sprzyjająca dawnemu Lelewelowskiemu komitetowi, otrzymuje teraz (13 lutego 1833) z Szatoru następną zachętę „*Sprawa wolności nie jest udziałem jednego ludu*, jednego stowarzyszenia: należy ona do całej ludzkości. Dla tego to zkądkolwiek na kuli ziemskiej jej głos się ozwie, odbije się on o serca zacne i godne, powoła do usiłowań, jakie nowe pokolenia przedsiębiorą z dogorywającą już przeszłością. Nie ustawajcie przeto w szlachetnych zamiarach waszych, zaszczepiajcie *principia* wasze, a one chociaż zwolna trafią do przekonania, a tak przejęci wszyscy jednemi i temiż samemi maksymami oczekiwać będziemy chwili, w której znikną przesądy, a sama prawość i czystość żądań doprowadzi nas do celu, którego dopięcie sprowadziło nas na ziemię obcą.“ Lecz od tego pisma redagowanego przez Wincentego *Cyprysińskiego* a podpisanego przez *Modlińskiego* przewodniczącego i *Chmielewskiego* pisarza i przeszło 60 innych, śród których jest nawet zmartwychwstaniec dzisiejszy *Semenenko*, daleko energiczniej wystąpili z Bezansonu.

W Bezansonie większość składała się z Litwinów, a Litwa „zawsze i wszędzie ankurażująca co jest dobrego, rozważniej i wytrwalej bierze rzeczy, niż wszystko chętnie krytykująca i zapalona, a łatwo stygnąca korona“ — jak pisał L. Chodźko.

Ci odrazu zrozumieli, że główną „przyczyną rozprzężenia komitetu było: 1) nielegalność wyboru, 2) różność zasad opinji i dążności powoływanych do korporacji osób, 3) liczba wielka członków powoływanych do tych korporacji, 4) trudność wzajemnego porozumiewania się, często fałszywie i do podejrzanych celów kierowanego przez osoby do tegoż upoważnione lub wpływające.“ Dla ogólnej więc zgody i wytworzenia władzy wpadli w Bezansonie na pomysł, ażeby *Dwernicki* i wojewoda *Ostrowski* Antoni, zwołali 25 patrjotów posłów i ci wybrali 10 kandydatów, a ogół głosował na wybór i każdy wymieniał kogo chce mieć prezydentem. Głosy zaś miano odesłać 25 posłom w Paryżu i ci by instalowali nową instytucję. Taki projekt podpisany w imieniu rady przez A. *Rosłakowskiego* i *Brylińskiego.*

Lecz dalej jeszcze poszedł zakład w *Argenton* (Arżantą) *sur Creuse*. 16 lutego 1833.... „Pisma wasze dowiodły nam nowinę o nowo-wylągnionym komitecie na zjeździe w *Burges* (Burż), który nazywacie dzieckiem słabem, dzieckiem z różnorodnych cząstek złożonem, a przeto kaleką i już umarłem de facto. Nowy ten utwor, sądziliśmy tylko być delegacją, czyli władzą administracyjną, z ramienia rad, czuwającym nad interesami naszymi i potrzebami podczas tułactwa, nie zaś *komitetem narodowym*, czyli reprezentacją polityczną, która dotąd pod przewodnictwem czcigodnego Lelewela, sądząc z czynów działanych, śród tysiąca zamachów niesionych zewsząd przez niezgody i osobiste niechęcie, na jej zagładę, zaufaniu naszemu odpowiedziała i nadzieje sprawdziła. Lecz gdy w zakomunikowanej nam organizacji, widzimy cel tej ostatniej, przekonywamy się o jej nie istnieniu, chociażbyśmy nie chcieli, zmianę osób i nową posadę, na której mogą być oparci, nazywać nowym i wcale innym komitetem. Zgromadzeni 15 tego miesiąca nasi bracia, dowiedli, że ich nie obchodzi, jaką drogą komitet jest wybrany, czy przez ogół paryski, czy awinioński: tylko kto go składa? czy mąż nieskażonej wiary, prawdziwych zasług oddanych ojczyźnie i potrzebnych do tego zdolności; a tacy tylko od nas żądani być powinni i mieć powszechną firmę. W tym razie myśli nasze zlały się w jedno uczucie, a w sercu i w ustach były nam te drogie wszystkim imiona: Joachim *Lelewel*, Józef *Dwernicki*, Antoni *Gorecki*, Adam *Mickiewicz*, Leonard *Chodźko* i Walerjan *Pietkiewicz*.“ A podpisali to w imieniu zakładu Kaz. *Podwysocki*, Antoni *Ostrowski* i Józ. *Kozakowski*.

Widzimy więc, że na początku 1833 roku, nawet po rozpędzeniu komitetu Lelewelowskiego w wielu miejscach ogół emigracyjny był za wyborem jego członków i uznawał pożyteczność prac jego.

Nawet projekt rady bezansońskiej nowego wyboru znalazł poparcie w Szatoru, gdzie rada odpowiadając 24 lutego pisała: „Przekonani tem bardziej o potrzebie.... uszanowania praw indywidualnych każdego emigranta, że sami byliśmy ofiarą bezecnych intryg delegacji, w których wy jednak udziału nie mieliście, uznajemy za nieszczęśliwy wasz pomysł, względem zaproszenia 25 posłów do podania podwojonej liczby kandydatów na członków przyszłej władzy“... i t. d. A równocześnie prawie, gdy pismo to podpisane przez Fr. *Krahnasa* i Roberta *Chmielewskiego* doszło rąk członków komitetu grudniowego w innym zakątku (u dep. *de l'Indre*) 457 tułaczy podpisywało inny adres redagowany przez Piotra *Semenenkę*, który dziś pewno zaparł się wypowiedzianych przekonań. Adres ten brzmiał*): „Ziomkowie! Po tylu nieszczęściach wsławionych, po tylu słowach nieszczęśliwych, po olbrzymiem dąsaniu się, Ojczyzna nasza zamordowaną została, (widać już w ówczas O. Semeneńko wątpił w życie ojczyzny), a jej dzieci rozpierzchły się po ziemi szukając i ucząc się środków ku jej wskrzeszeniu. Wy pierwsi, wy zacni obywatele podnieśliście jej głos pogrobowy, głos smętny, lecz zarazem trwogą przejmujący morderców jej, jak przeraża zabójcę w sennem marzeniu głos zabitego, i jego rany rozdarte. Ozwał się dworzec carski i usłuchały *Palais-Royal* i *Tuileries*. I cóż dziwnego, że kilku wychodźców polskich zaczęto gonić po Francji! Ziomkowie nasi, przyjmcie od równie wam nieszczęśliwych hołd należny waszym cnotom obywatelskim, waszym polskim cierpieniom. Nie ma pomiędzy nami szczytnych stopniami, nie poświęciliśmy wiele krajowym cieniom, bo tylko młodość naszą i nasze nadzieje szczegółowe; lecz kto bez stopnia poszedł za orszakiem pogrzebowym ojczyzny (?!?); kto na jej trumnie (??) złożył to wszystko co miał, zrobił ofiarę nie mniejszą, jak wdowa ewangieliczna swoim ostatnim pieniążkiem. Ziomkowie! Zakład wychodźców cywilny, przez samą sympatję zbliżał się zawsze ku wam. Zasługi wasze przedrewolucyjne, po większej części w życiu cywilnem znane były, i z nas rzadki był żołnierz przed dniem 29 listopada; broń podała nam w rękę sprawa najświętsza i niemniej przez to obrońcami byliśmy Polski. Przyjmijcie z równą sympatją, z równem uczuciem hołd powtórzony, a zarazem prożbę naszą... o wytrwanie w cierpieniach i w pracach dla ojczyzny, dla jej drogiej nadziei.“

Drugi adres od 627, do członków dawnego komit. narod., rodaków z Burż i Sankoę (*Bourges* 10 kwietnia i *Sancoins* 17 kwietnia 1833) w dep. *Szer* (Cher), w tym samym duchu, między innemi rzeczami mieści: „Ziomkowie! Nimeśmy cząstkowo krusząc stawiane nam zapory zdolali to przebyć, Wy odgadłszy myśl powszechną połączenia się znów w jedną całość w tej krainie przy-

*) List do Wodzińskiego (niedrukowany).

*) Sprawozdanie komitetu narodowego.

chylnego nam i wzajem od nas kochanego ludu Francuzów, dalekoście wprzód do niej przed nami zdążyli; a wolą ówczesnego zgromadzenia ziomków, powołani do naczelnego działania w sprawie narodowej, wsparci głęboką znajomością przeszłości i nauczeni świeżo własnem doświadczeniem, *rozpoczęliście dzieło wskrzeszenia nowej Polski, już nie od pukania do zamkniętych przed miłośnikami wolności drzwi gabinetów: nie od żebrania naprożno litości u skalisto-lodowatych serc królów, lecz od poważnego wzniesienia głosu prawdy do sprawiedliwości, do wspólnego interesu wszystkich ludów:* ich współczuciem silni, z niezlękłą duszą i sercem, *podnieśliście z grobu dla postawienia przed sąd Europy ciało ręką koronowanych morderców żywcem pogrzebane.* Wyście niezmordowaną pracą i odwagą swoją ciągle się passując z przeciwnościami i jednocząc różnorodność naszych pomysłów, nie mało się przyłożyli do zniszczenia podstępnych knowań wyparcia za granicę Europy. Wyście nie dopuścili wplątać nas w walkę najniekorzystniejszą celom i przeznaczeniu naszemu"... I kończą odezwę: „Wdzięczna ojczyzna odda kiedyś obywatelskiej zasłudze i patrjotycznym cnotom waszym hołd należny; my tymczasem do głosu powszechnego łączymy nasze serdeczne, wam, ziomkowie, podziękowanie, za podniesienie działaniem waszem ducha w emigracji i umocowania w sercach naszych słodkiej nadziei niemylnego zmartwychwstania drogiej nam ojczyzny" *).

Nie mógł już komitet odpowiadać na te wszystkie objawy współczucia i żalu po zniesieniu tej instytucji. Więc tylko jeden Joachim *Lelewel* wystosował odpowiedź w imieniu wszystkich. — Oto wyjątek z tego pełnego skromności podziękowania: „Sam tedy, wyosobniony od wszystkich, w odludnem, ale w miejscu pełnem wielkich Europy i Ameryki wspomnień; w miejscu gdzie po ścianach, *nieszczęśnie poplątanej sprawy polskiej z francuską,* widzisz pozawieszane znaki, w (La Grange) *La granż,* tak w mojem jak i kolegów imieniu składam dzięki za pamięć waszą, za wasze oświadczenia... Żadne przeszkody, żadne prześladowania nie zrażały nas, i dzisiejsze rozpędzenie nie byłoby powodem do stłumienia działań naszych, gdyby nie inne, wam obywatele, niemniej znane okoliczności, nie postawiły nas w niemożności służenia sprawie naszej, łącznie jak dotąd ja i koledzy moi czyniliśmy. Słusznie poczytujecie nas za członków *byłego* komitetu. Skoro się nadto wyraźnie objawiło, żeśmy przez ziomków opuszczeni, żadną formą ani rozwiązani, ani zastąpieni, tylko *opuszczeni:* — widzieliśmy nieodzowny moment, ustąpienia temu, co się działo. Trudne nasze położenie, w biegu będące korespondencje, ciężące na naszym komitecie długi, nie pozwalały nam się rozejść. Cała nasza czynność ograniczała się do prywatnych i cichych komunikacji, tak iż komitet nasz, kwoli wielkiej liczby ziomków, już się uważał za *kiedyś były,* nim się rozpędzenia doczekał. Wszakże nie wybrnęliśmy z naszego dolegliwego położenia, gdy nas rozpędzenie spotkało. Zostały nam trudy i ciężary do osobistego załatwienia.... Czas wygotuje zapewnie zdanie sprawy u wszystkich zdarzeń, które tułactwo w niemały odmęt wprowadziły. Nie traćmy jednak szanowni obywatele serca, bośmy jeszcze *nie wychylili do dna kubka goryczy. A może się tam na dnie pocieszenie znajdzie*". A pisał te słowa Lelewel w tej samej chwili, gdy już współpracownik jego Zaliwski bronił się w obec napadów Galicji odezwą: „Mówią niektórzy: *Zaliwski jest republikaninem; gotów koniecznie zrobić rzeczpospolitą,* która na żaden sposób utrzymać by się nie mogła, między tylu monarchiami sama jedna. Na to odpowiadam; prawda, *że jestem republikaninem i takim umrzeć postanowiłem;* ale nie jestem szaleńcem, jak mnie niektórzy pod imieniem republikanina uważają. Wszak wyraźnie oświadczyłem i za prawidło położyłem w zasadniczych artykułach partyzanckich, że naród sam sobie ustanowi prawa i rząd".

(C. d. n)

*) Zdanie sprawy z czynności Kom. Nor. pol. od końca września 1832. patrz (10, 11, 12.)

KRONIKA NAUKOWA.

przez

B. ABAKANOWICZA.

Rzekome zmiany na księżycu. — Podział bezpośredni światła elektrycznego pp. Molera i Cebrian. — Nowa materja wybuchająca. — Wygasanie rodów arystokratycznych.

(Dokończenie).

Do najpotężniejszych materji wybuchowych, w których szeregu pierwsze miejsce zajmowała nitrogliceryna, przybywa obecnie nowe ciało o własnościach wybuchowych jeszcze gwałtowniejszych. Wynalezionem ono zostało przez p. Nobla, który należy do najznakomitszych pracowników na tem polu. Ochrzczono je imieniem *gelatyny wybuchającej.*

Działanie niszczące wszystkich zastosowywanych w praktyce ciał wybuchających polega na tem, że ciała te pod wpływem gwałtownych wstrząśnień, albo też w odpowiedni sposób zapalone, zmieniają raptownie swój skład chemiczny, w nadzwyczaj krótkim czasie i z stanu stałego lub płynnego przechodzą w stan gazowy. Z małej ilości ciała stałego lub płynnego, robi się ogromna objętość gazów.

Sposób sprowadzenia wybuchu odgrywa tu bardzo wielką rolę. I tak np. nitrogliceryna zapalona zapałką, pali się żywo, ale bez wybuchu i jest o tyle nieszkodliwą, że można zanurzając w nią zagasić zapaloną zapałkę. Lecz gdy w bezpośredniej blizkości sprowadzimy wybuch mały ale o wielkiem natężeniu, jak np. za pomocą pistona, to nitrogliceryna wybucha ze straszną siłą, druzgocąc wszystko naokoło. W ten sposób niewielka jej ilość pozostawiona w naczyniu na powierzchni wielkiego kamienia, druzgoce go na drobne kawałki.

Nitrogliceryna, a w szczególności jej niektóre odmiany, jak dynamit, oddają wielkie usługi w technice i w sztuce wojskowej. Przypominamy tu wysadzenie w powietrze potężnych skał podwodnych, zwanych *Hell Gate,* zostawiających wejście okrętom do zatoki przed Nowym Yorkiem. Użyto wtedy największej ilości dynamitu naraz, bo w nabojach podwodnych było przeszło dwadzieścia pięć tysięcy kilogramów tego ciała.

Nitrogliceryna otrzymuje się w ogólnym zarysie w ten sposób, iż do kwasu azotowego zmięszanego z kwasem siarkowym wlewa się strumień czystej gliceryny, który się natychmiast zamienia na nitroglicerynę, która potem przemyta w czystej wodzie, już jest gotową do użytku. W takim płynnym stanie daje ona wyborne rezultaty wybuchowe, lecz jest bardzo niebezpieczną, szczególniej w przenoszeniu, bo eksplozja może nastąpić przy lada wstrząśnieniu. Żeby tego uniknąć, mięszają płyn z ciałami obojętnemi, jak siarkowym węglem sproszkowanym i innemi ciałami absorbującemi wiele płynu i w ten sposób otrzymuje się cały szereg ciał stałych, co do swej zasady jednakowego składu, lecz różniących nazwą, stosownie do przymieszki ciała obojętnego. Najbardziej znanym ze wszystkich jest dynamit.

Nowe ciało, wybuchająca gelatyna, jest mięszaniną nitrogliceryny i bawełny strzelniczej, która jest już znaną od dawnego czasu i która otrzymuje się tą samą drogą jak nitrogliceryna, maczając w mięszaninie kwasu azotowego z kwasem siarkowym, zwykłą bawełnę. P. Nobel przekonał się, iż nitrogliceryna posiada własność rozpuszczania w sobie bawełny strzelniczej do wysokości siedmiu procentów i powstaje przez takie rozpuszczenie galaretowate ciało, nazwane przez Nobla wybuchającą gelatyną, która może być bezpośrednio użytą do robienia patronów.

Ponieważ w takiej masie nie ma żadnego dodatku ciał obojętnych, więc funkcjonuje ona z daleko większą siłą niszczącą niż dynamit i inne pokrewne ciała. Lecz nietylko to jedno przyczynia się do zwiększenia mocy, lecz i ta okoliczność, że spalenie się jest daleko doskonalszem w skutek warunków chemicznych, o których na tem miejscu bliżej się rozpisywać nie możemy.

Żeby to ciało mogło wejść do praktycznego użytku, trzebaby było jeszcze zrobić dokładne próby na wielką skalę, co do bezpieczeństwa przewożenia i przechowania takiej gelatyny. W sprawozdaniu Pritcharda, które mamy przed sobą o takich doświadczeniach nie ma wcale wzmianki. Jeżeli ta strona zostanie zbadaną i okaże się rezultat pomyślny, to nowe ciało usunie z użytku dynamit, tak niebezpieczny i tak niepraktyczny w wielu wypadkach.

* * *

Wygasanie rodów arystokratycznych. Pod tym tytułem pojawiła się w Lipsku rozprawa Dra Kleina, zasługująca na szczególniejszą uwagę. Autor, na podstawie danych statystycznych stara się dowieść, iż rody arystokratyczne wymierają powoli i że w niezbyt długim terminie prawdopodobnie wygasną żyjące dzisiaj linie zupełnie, tak że zostaną z nich tylko okazy kopalne jak dzisiaj megaterja, ichtyozaury i tym podobne potwory przedpotopowe. Autor z współczuciem i żalem wspomina o tem i szuka środków zaradczych, które niestety w tym wypadku miałyby w sobie wiele zwierzęcego, coś w rodzaju utrzymania pewnej zanikającej końskiej rasy, którą natura skazuje na śmierć, a którą starają się amatorowie podtrzymać wszelkiemi środkami.

Podstawą do twierdzeń Dra Kleina, jest mała ale gruba książeczka, znana wszystkim, którym sprawa dobrego tonu na sercu leży, a oprawna zwykle w cielęcą skórkę pomalowaną na kolor purpurowy. Jest to kalendarz Gotajski, w którym spisani są wszyscy członkowie żyjący arystokratycznych rodzin Europy.

Z dat tam znajdujących się wnosi Dr. Klein iż rodzina, która dostąpiła zaszczytu należenia do wyższej arystokracji, zapłacić musi za ten zaszczyt zupełnem wygaśnięciem po kilku generacajch i to z prawdopodobieństwem graniczącem prawie z pewnością.

Z tabelli zestawionej w pracy Dra Kleina dowiadujemy się, że z 1028 głównych linii rodów hrabiowskich obecnie istniejących, znajduje się 88 takich, które tylko żeńskich potomków wykazać mogą. Dni takich rodów już są policzone i po-

latach kilkudziesięciu znikną zupełnie z oblicza ziemi. Oprócz tych znajduje się 144 takich linij, w których potomków męzkich jest jeden albo dwa i tam jest prawdopodobieństwo zaginięcia, bo śmierć łatwo może przerwać drzewo genealogiczne.

Jeżeli weźmiemy za normę owych 88 rodzin istniejących już tylko w potomkach żeńskich, i przypuścimy, że wymrą one po latach trzydziestu, to ztąd łatwo obliczyć, że w przeciągu jednego wieku wykreśla się z małej, grubej i czerwonej książeczki 293 nazwisk rodowych hrabiowskich. Rozłożywszy to w stosunku do każdej rodziny, otrzymamy przeciętny czas istnienia rodu nie przenoszący trzech i pół wieków.

Jakie są tego przyczyny? Żeby znaleść odpowiedź na to pytanie, trzebaby się wziąć do tej kwestji w sposób czysto zoologiczny i poznać warunki życia i warunki rozwoju takich wysoko położonych rodów. Wiemy dotąd tylko to, a wiemy ze statystycznych porównań, że jest to prawem przyrodniczem, przeciw któremu walczyć trudno.

Co do nas, nie myślimy się więcej od p. Dra Kleina zastanawiać nad tą kwestją i poprzestajemy tylko na zanotowaniu spostrzeżeń uczonego badacza.

Cudowne rzeczy!

Panowie! jestem prorokiem!
I widzę wszechwiednem okiem
Jak przyszłość rany nam leczy.
Cudowne rzeczy!

Poetów nie zliczy więcej
W kraju nad pięć, sześć tysięcy,
Dziennikarz będzie zasady
Czcił jak obiady,

Krytyk nim kogo przywita
Kamieniem — książkę przeczyta,
A mędrzec będzie miał chwałę
I buty całe,

W szkołach łacina i greka
Przestaną grać rolę ćwieka
I płodzić wyrób krajowy:
Zakute głowy,

Lekiem będzie puhar wina,
Zbankrutuje medycyna,
Zgoda sprawy porozplata
Bez adwokata,

Kasjer banku nie okradnie,
Młodzieżą zapał owładnie,
W prokuratorji się zbudzi
Miłość dla ludzi,

Ludzkość rzuci hełm i pikę,
Mnóstwo osłów politykę,
Rozum wstąpi w Delegację,
I miałby rację.

Szambelani, marszałkowie,
Ekscelencje, hofratowie,
Będą li z tradycji znani,
Albo wypchani,

Austrja w sferze polityki
Zaprzestanie gimnastyki,
Kraków porzuci wyznanie
Żółto-baranie,

Litość powróci z wygnania,
Cnota dostąpi uznania,
Prawdę głosić będzie można,
Chociaż z ostrożna,

Prawo zapanuje wszędzie.
Tak to, tak na świecie będzie
Panowie! za lat najwięcej:
Dziesięć tysięcy.

M. Rodoć.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Dokończenie).

ROZDZIAŁ XXX.

W którym doktor Rocco zawiera stały pokój z pewną literą.

Pewnego poranku, a było to już dosyć późno, zapukał maleńki Rocco do drzwi dziadzi, pytając jak zwykle: „czy wolno?“ i nie czekając odpowiedzi wszedł do pokoju, gdy jednak i teraz jeszcze nie nastąpiła odpowiedź, małego tyrana przejął strach, stanął i bał się ruszyć z miejsca.

Dziadek leżał na łóżku i poglądał wciąż na niego wielkiemi oczyma nieruchomie, ale nie mówił ani słowa. I chłopczyna widząc, że tak mu się przyglądają uważnie zawołał: Dziadziu! — potem zaśmiał się nie odbierając odpowiedzi, wreszcie przestraszył się i rozpłakał; na płacz przybiegła co prędzej matka.

— Ojcze! — zawołała schylając się nad maleńką łzami zalaną twarzyczką chłopca — ojcze, co tu zrobił Rocco? czemu płacze?

— Ja nic nie zrobiłem! — odpowiedział malec, potem wskazał na łóżko i rzekł: dziadzio tak wciąż patrzy na mnie i nie chce do mnie przemówić.

— Dziadzio tak żartuje z tobą tylko — wymówiła strwożona poglądając ojcu w oczy z przerażeniem i mimowolnie przyciskając do piersi dziecko.

Ale z ócz doktora Rocco stoczyły się dwie łzy po bladych policzkach.

Wtedy straszliwa myśl rozświeciła jej tę pomrokę i przeczucie pierwszej wielkiej życia boleści ścisnęło jej serce. W mgnieniu oka wyprostowała się i z bladą twarzą ale silną przeczuciem cierpienia postąpiła do łóżka ojca.

— Ojcze! — zawołała i umilkła nagle, bo doktor dał jej lewą ręką znak, że nie może mówić.

Gabriella pojęła wszystko od razu, trwożnie obejrzała się dokoła a potem przyniosła tabliczkę i ołówek, kiedy powróciła, chłopiec stał znowu na skinienie dziadka u jego łóżka.

— Czemu nie mówisz, dziadziu? — pytał malec tym rozkazującym tonem, na który zwykle tak pokorniał dziadek; wczoraj przyrzekłeś mi welocyped, wstań, pójdziem go kupić... ale czemu ty nic nie mówisz, dziadziu?

Doktor Rocco z trudem usiłował się uśmiechnąć, potem pochwycił ołówek i na tabliczce, którą podała mu Gabriella napisał:

„Chciałbym go ucałować.“

Gabriela podniosła chłopczynę, a gdy starzec pocałunkami okrył kędzierzawą głowę małego swego tyrana, wyszeptała trwożnie: Co się stało? i drżącemi rękoma podała ojcu tabliczkę.

Odpowiedź była następną:

— „Bądź mężną, nadeszła moja godzina, weź małego, zawołaj matki, twego męża, Gioachina i Romola... prędzej, prędzej... prędzej.“

Gabriella z płaczem wybiegła, ciągnąc za sobą chłopczynę i wróciła też natychmiast. Tranquillina przecież wyprzedziła ją jeszcze.

— Rocco — zawołała przerywanym łkaniem głosem — Rocco!

Doktor zadrżał całem ciałem i poruszył daremnie wargami usiłując coś wymówić.

Federico, Romolo i Gioachino patrzyli na niego nieruchomie i żaden nie śmiał wymówić słowa. Wówczas Gabriella z natężeniem całej siły mężnej swej duszy potrzymała ojcu tabliczkę, na której on z trudem wypisał lewą ręką:

„Wysłuchajcie jeneralnej mojej spowiedzi: byłem złym i niemiłosiernym, przebaczcie mi.“

Potem tym wysiłkiem obezwładnione ramię opadło na krawędź łóżka.

Wszyscy przystąpili teraz drżący do łóżka złożonego niemocą; ruchliwe oczy konającego zdały się walczyć z pomroką nieskończoności i jednem spojrzeniem obejmować dwa różne światy.

Federico postąpił pierwszy i rzekł uroczyście:

— Ojcze, zawsześ był dobrym dla mnie, i wówczas nawet gdym na to nie zasługiwał.

— A ja — ozwał się podchodząc Gioachino, a ja... ale łkanie przerwało mu mowę.

— Dla nas byłeś pan zawsze dobrym i serdecznym — począł teraz Romolo zciszonym głosem — myśmy to mówili zawsze... nieprawdaż, Gioachino.

Ale zatrzymał się kiedy doktor Rocco jakby broniąc się czy zastrzegając przed czemś, wyciągnął rękę, a żarzące jego oczy zdały się wyrażać wymownie jakąś prozbę.

Gabriella wówczas podeszła do obu przyjaciół i wymówiła z płaczem:

— Chciałby was prosić o przebaczenie.

— Cóż my mielibyśmy mu przebaczać? — wybąknął Romolo.

Gabriella przez chwilę poglądała na ojca pytającem spojrzeniem, potem rzekła:

— Przebaczcież mu — prędko, prędko!

— Doktorze Rocco — ozwał się Romolo — jeśli ci zależy na naszem przebaczeniu, w takim razie przebaczamy ci z całego serca, ależ to przebaczenie niepotrzebne...

— Nie, niepotrzebne — przerwał Gioachino — przeciwnie raczej winniśmy ci wdzięczność za przyjaźń, którą nas obdarzałeś... Nieprawdaż, Romolo?

— Tak winniśmy ci wdzięczność.

I każdy z nich wycisnął serdeczny pocałunek na bladem czole przyjaciela.

W chwili tych pocałunków, doktor Rocco począł drzeć całem ciałem, ale oczy jego nie zamykały się jeszcze, ale poglądały spokojnie i jasno po otaczających.

Gabriella i Tranquillina siedziały na łóżku

pochylone w bezmiernym smutku nad konającym; obaj starzy wsparli się o poręcz łóżka, aby nie upaść pod ciężarem boleści.

Śmiertelna walka była krótką; umierający już nie drżał i był zupełnie spokojnym. Szybki oddech ustał i tylko oko krążyło z niepokojem dokoła.

Naraz zdało się jakby doktor Rocco poczuł nowe jakieś życie wstępujące mu w piersi, podniósł lewą rękę i począł nią szukać czegoś na kołdrze. Gabriella zrozumiała go i podała tabliczkę, na której konający usiłował napisać jeden wyraz, poczynający się od wielkiego B. Potem ostatnie spojrzenie utkwił w zbolałych rysach swego dziecka, jakby to spojrzenie użyczyć mu miało potrzebnej siły i raz jeszcze spróbował napisać rozpoczęty wyraz, ale śmierć nie pozwoliła mu nakreślić nic nad pierwszą literę. Ołówek pozostał w skostniałej dłoni, tabliczka zsunęła się na ziemię.

— Co to jest dziadzi? — spytał mały Rocco, który niepostrzeżenie wcisnął się do pokoju. A że mu nikt nie odpowiadał, śmiało szczebiotał dalej:

— Czy niepamiętasz już, dziadziu, żeś mi przyrzekł kupić welocyped?...

Gabriella odwróciła się i długim pocałunkiem zamknęła usta dziecku.

Tłumione łkanie tylko przerywało uroczystą ciszę.

Potem Gabriella podniosła z ziemi tabliczkę i z niemym gestem podała ją matce, płaczącej cicho u nóg łóżka.

Tranquillina przypatrywała się dość długo tej literze nakreślonej drżącą ręką, nakoniec odgadła jej znaczenie i uśmiechnęła się z po za łez.

— Resztę — wymówiła — musimy doczytać w jego sercu.

Następnie upadła na kolana, pochwyciła po raz ostatni zimną rękę wiernego towarzysza swego życia i zawołała w niebo wznosząc oczy:

— Boże! wielki Boże! wszechmiłosierny Boże!

Gioachino i Romolo płakali jak dzieci, Federico nieruchomie poglądał w spokojną nadziemskim spokojem twarz zmarłego.

Może myślał, że śmierć, jeśli tak przychodzi, nie jest tak znów przerażającą, tak straszliwą, bo nie płakał, tylko z dziwnem uczuciem przycisk ał dziecko swe do piersi.

ROZDZIAŁ XXXI.

Po żałobie.

Dziesięć miesięcy ubiegło a do dziś dnia jeszcze Gioachino po obiedzie, ilekroć przyniosą gazetę, pogląda w górę, wzdycha i myśli o doktorze Rocco, który stał mu się był „nieodzownym". Tak mówi przynajmniej, ale orzeczenia tego nie sposób rozumieć dosłownie, bo pociesza się jak może i obywa bez doktora, nie dostając przytem suchot ze zmartwienia. Co gorsza nawet — o niepojęte drogi Opatrzności! — nasz Gioachino tyje.

A im więcej on tyje, tem więcej wydaje się, że Romolo się zdłuża i chudnie.

Obadwaj mieszkają u Federica i żyją w największej zgodzie z nim, Gabriellą, Tranquilliną i maleńkim spadkobiercą wielkiego imienia Rocco Trombetta.

Malec do dziś dnia pojąć nie może gdzie został dziadzio i często jeszcze o niego pyta. Wówczas powiadają mu, że jest w niebie i żaden głos nie podniesie się by zakwestjonować tę odpowiedź. Doktor Rocco bowiem po śmierci zyskał niesłychannie, nie do wiary; nie ma dnia, w którym pozostali nie odkryliby w nim nowej jakiej cnoty. Ale może i Gioachino ma rację, kiedy twierdzi, że z oddalenia tylko można sprawiedliwie sądzić ludzi, a może i to, co powiada Romolo jest słusznem: że są ludzie, których po śmierci dopiero należycie się ceni.

Romolo wprawdzie oświadcza, aby nie przeczyć Federicowi, wyraźnie, że takich ludzi sam nie znał; Federico bowiem uparcie dopatruje w każdym człowieku pokładów złota, ukrytych skarbów, które za życia już każdego osobnika mogłyby spożytkowane zostać dla dobra ludzkości.

Minęło więc dziesięć miesięcy żałoby, dziesięć miesięcy przepisanych prawem i zwyczajem i nie po raz to pierwszy dzisiaj ma przystęp do Romola myśl kusicielska; ale teraz pokusa tak jest bliską, tak ponętnie bliską i na jej widok przejmuje go tak słodkie drżenie, że już dłużej nie jest w stanie utrzymać palącej go tajemnicy i musi zwierzyć ją wiernemu przyjacielowi. Gioachino przy tej sposobności daje dowód wielkiej, niezwyklej cnoty, do której nie byliby go sądzili zdolnym współcześni i nie śmieje się.

Ale kto śmieje się za to — Tranquillina; tak, śmieje się — ona, ubóstwiana, sroga, okrutna kobieta — i doprowadziwszy swym śmiechem do płaczu niemal Romola, żąda od niego jeszcze, żeby śmiał się z nią razem, kiedy on żąda aby odpowiedziała mu poważnie.

Posłuszny Romolo próbuje wyszczerzyć w śmiechu resztki zębów a Tranquillina bierze niezmordowanego swego wielbiciela za rękę prowadzi go przed zwierciadło i mówi:

— Popatrzże, panie Romolo; oboje mamy już siwe włosy, czas głupstwa i szaleństwa dla nas już przeszedł. Będziem się wzajem szczerze kochali, bo to nie grzech, ale nie potrzebujemy oznajmiać o tem urzędnikom stanu cywilnego.

— Tranquillino! — wyjąknął Romolo raz jeszcze.

— Panie Affani — przerwała mu ukochana kobieta, podaj mi pan rękę, pójdziemy do naszych dzieci do ogrodu.

Romolo wzdycha, przyrzeka jednak, że już tego nigdy nie powtórzy.

A inżynier Enea?

Odwiedza często przyjaciela swego Federica i zostaje tam zawsze czas jakiś; najczęściej siedzi cicho i ukradkiem przypatruje się zabawom małego Rocco, poczem popada zawsze w dziwne roztargnienie i całkowicie zapada w fantastyczne swe marzenia. W takich chwilach Romolo i Gioachino spoglądają na siebie wzajem znacząco i postanawiają we wszystkich domach Medjolanu zarządzić najściślejsze poszukiwania za jaką nową zaczarowaną w ukryciu pięknością. Ale to rzecz niełatwa taki skarb ukryty wynaleść; ilekroć zdaje im się, że już znaleźli, przekonywają się, że to nie owa wybrana, nie matka Kandidy i Leona. I tracą odwagę do dalszych eksperymentów i oczekują już tylko zbawienia od Opatrzności, która jak sądzi Gioachino, niedaremnie przecież jak to widzimy na wzorowym zarządzie przyrody, cieszy się uznaniem dobrej gospodyni; nie dozwoli też przeto pięknym skarbom inżyniera leżeć odłogiem.

Ze względu na ludzkość będziemy cierpliwie czekali na tę chwilę, cierpliwy mój czytelniku.

KONIEC.

Piśmiennictwo polskie.

Z życia Polaków po świecie. Obrazki przez Felksa Kozubowskiego. Cieszyn u Malika. — Marja Stuart, ein Drama von Julius Słowacki übersetzt von Ludomil German.

P. Feliks Kozubowski przed kilku laty dostąpił Herostratowej sławy wydawszy dziełko pt. „Rozgrzeszeni", w którem idąc torem Stańczyków potępił nasze usiłowania wybicia się na wolność jako niemożliwe i zawoławszy wraz z jego carską wysokością: *Point des reveries* wskazał nam sojusz, a właściwie zdanie się na łaskę i niełaskę Moskwy, jako jedyną drogę, którą nam iść wypada. Nie potępiamy autora za to, widać bowiem ze wszystkiego, że pisał to w dobrej wierze, a właściwie, że był to wybuch rozgoryczonego serca, więcej lekkomyślny, niż zbrodniczy. Obecnie po kilku latach autor ochłonąwszy z namiętnych wzruszeń przyszedł do poznania swego błędu, a w dziełku, którego tytuł zacytowaliśmy powyżej, w przedmowie i kilkakrotnie w innych miejscach tłumaczy się ze swych „Rozgrzeszonych", przyznaje się do winy i prosi publiczność o zapomnienie przeszłości.

Nie naszą rzeczą udawać sędzię narodowego sumienia, ponieważ jednak autor spowiedź swą odprawia publicznie, niech nam wolno będzie wyrazić mu szczere uznanie za czyn ten w każdym razie świadczący o jego uczciwem sercu i szczerości postępowania. Stare to rzeczy, że zwyciężyć siebie samego jest największem zwycięztwem, p. K. przyznając się publicznie do winy potrafił zwyciężyć najdrażliwszą stronę swego autorskiego „ja". mianowicie własną miłość autorską, a czyn taki zawsze na uznanie zasługiwać powinien i musi.

Po tym wstępie którego skreślenie uważaliśmy za święty obowiązek, tak wobec autora jak i czytelników, przystępujemy do rzeczy. Tłem obrazków p. Kozubowskiego jest życie Polaków we Francji, a szczególnie tych, których okoliczności zmusiły do wstąpienia w szeregi francuskie i walczenia przeciw Beduinom w Algierze. Rozumie się samo przez się, że autor kreśli naszych rodaków ze strony jak najsympatyczniejszej, wszyscy bohaterowie jego są prawdziwymi bohaterami, zdobi ich męztwo, szlachetność, zwykła cześć dla płci pięknej, słowem, posiadają wszystkie przymioty, które podziwiamy i wielbimy w średniowiecznem rycerstwie. Co się tyczy tego punktu, niech nam autor pozwoli zrobić małą uwagę. Rozumiemy że każdy autor stara się swego bohatera z jak najlepszej strony przedstawić, pojmujemy także, że autorowi zależało na podniesieniu stron dodatnich naszej emigracji, mimo to jednak nie można się tak bardzo z rzeczywistością mijać, jak to autor uczynił. Nie przeczymy, że między polskimi żołnierzami w Algierze, znajdowali się ludzie zacni, w każdym razie jednak były to tylko wyjątki, a tak samo od powieściopisarza jak i dramaturga wymagamy kreślenia nie jakichś wyjątkowych postaci, ale typów reprezentujących całe warstwy lub klasy społeczeństwa. Wiadomo wszystkim, że do służby wojskowej w Algierze wstępowali przeważnie tacy z Polaków, którzy właśnie jak najmniej posiadali przypisywanych im przez autora przymiotów, a walka przeciw dzikim, ale zawsze wolności swej broniącym Beduinom, tak samo dla wszystkich Polaków na emigracji, jak i dla czytelników powiastek p.

Kozubowskiego jest rzeczą wcale nie sympatyczną. Pod względem artystycznym zbiorek tych opowiadań ma niezaprzeczone zalety: koloryt żywy, sposób opowiadania zajmujący, nie brak przytem w każdej powiastce sytuacyj prawdziwie dramatycznych poruszających czytelnika aż do głębi serca. Za to wszystkie powiastki grzeszą zanadto pospiesznem traktowaniem przedmiotu, brak im epickiego spokoju i wykończenia, bez czego najlepszy pomysł nie może się oblec w doskonałe ciało. O wadach tych jednak czytelnik chętnie wobec niezaprzeczonych zalet zapomina, a odłożywszy książkę mimowoli błądzi jeszcze przez czas niejaki po tych zajmujących krańcach północnej Afryki, których widoki autor z niezwykłą dokładnością i znajomością przed oczyma jego roztaczał. Na okładzince tej zajmującej książeczki czytamy ogłoszenie, że wkrótce opuści prasę drugi tomik tych opowiadań. Oczekujemy na ukazanie się tej publikacji, mając niepłonną nadzieję, że opowiadania w drugim tomie zawarte przynajmniej wyrównają poprzednim...

Niemcy coraz to skrzętniej zajmują się naszą literaturą i nie ma prawie roku, w którymby literatura niemiecka nie została wzbogaconą przekładem jakiego z naszych celniejszych utworów, a trzeba przyznać, że po większej części tłumaczenia niemieckie odznaczają się wiernością i pięknym językiem. W tym roku wyszło na świat tłumaczenie dramatu Słowackiego pt. „Maria Stuart“, które pod każdym względem zasługuje na jak największe pochwały. Przekładu tego dokonał Polak, Ludomił German, profesor szkoły realnej w Jarosławiu. Nie wiemy, co bardziej w tym przekładzie podziwiać, czy wierność, czy też przepiękny wiersz i język, którym p. G. włada tak, jak niemieccy klasycy. Zamiast pochwalnych ogólników przytaczamy na „chybił trafił“ jeden ustęp w oryginale i w przekładzie.

AKT IV, SCENA 4.

. . . .

Nick.

Zasnę, gdy znajdę mogiłę!
I tej może odmówią.
(Blednieje, siada przy królu i głowę na dłoniach opiera)
Przed daleką drogą,
Powrócę jeszcze myślą w rodziców mieszkanie.
Widzę tam w końcu sioła tę chatkę ubogą,
Zczerniałe dymem ściany i obraz na ścianie,
A przy obrazie lampa; pies wrót chaty strzeże,
Nad chatą dąb spruchniałe podnosi konary.
O Boże! Widzę, widzę — tam mój ojciec stary,
Na progu pług naprawia i mówi pacierze!
Oto matka ze łzami usiadła do przędzy —
Spiewa pieśń, jak przy mojej kołysce spiewała —
O! któżby, któżby sądził, że pod dachem nędzy
Urodzi się istota, co się będzie śmiała.

Henryk.

Pierwszy raz wpadasz Nicku w tak czarną tęsknotę;
Ty byłeś tak wesoły?

Nick.

Tak — byłem tułaczem.
Któżby przyjął do domu płaczącą sierotę!
Panowie mogą smutek głosić jękiem, płaczem,
Nędzarz śmiać się potrafi potrzebując chleba.

Henryk.

Powiedz, co ci jest, Nicku! — ten napój? o Boże!
Może jaki ratunek?

Nick.

Już mi nic nie trzeba —
Słuchaj, królu! z dzieciństwa chowany na dworze
Służyłem za igraszkę — śmieli się dworzanie,
A ja widziałem wzgardę w ich śmiechu. Na Boga!
I ja też miałem serce! tak jak pies u progu,
Jak twój pies się do Ciebie przywiązałem, panie,
Wiedząc, jako śmiech rzadko królom towarzyszy,
Chciałem, ażeby zawsze towarzyszył Tobie,
Teraz król już mojego głosu nie usłyszy,
Chyba się będzie jeszcze śmiał na moim grobie,
A dzwonki mu przypomną dzwony na pogrzebie.

Henryk.

On umiera! Królowo okropna to zdrada!
Nicku! Nicku! i cóż mam uczynić dla ciebie?
Oczy twoje ściemniały i twarz śmiercią blada.

Nick.

Królu! Zawieś na czapce kilka sztuk pieniędzy,
Odeślij ją rodzicom. — Złotem się pocieszą,
Może pocieszą, może poratują w nędzy;
A czapkę w niskiej chacie na ścianie zawieszą,
I będzie im niekiedy przypominać syna! —
Niech matka przędząc przed nią, tę pieśń przypomina,
Którą niegdyś w kołysce spiewała nademną.
O Boże! jak mi słabo — jak mi w oczach ciemno!

Henryk.

Nicku! Ty mię rozczulasz!.. patrz, łzy moje płyną.

Nick.

Królu! nigdy nie byłem łez twoich przyczyną —
Czemuż wesołość moja z życiem obumiera?

Henryk.

O nie śmiej się! ten uśmiech smutny, wymuszony,
Do głębi mię przenika, serce mi rozdziera —
Umierasz za mnie, wierny, wzgardą nagrodzony.

Nick.

Nagródź mię. Wybierz czterech najuczeńszych ludzi,
Niech niosą trumnę błazna, niechaj głupstwo noszą:
A gdy się każdy dobrze ciężarem utrudzi,
Tylko ciężarem głupstwa — po kraju ogłoszą,
Że Nick umarły więcej waży, niż Nick żywy!
Tyś się uśmiechnął, panie! O jakżem szczęśliwy!
Chciałem cię jeszcze widzieć z uśmiechem na twarzy.
Przebacz mi panie wszystko, zamykam powieki,
Już cię widzieć nie będę — tak mi się coś marzy,
Tak słabo —

Henryk.

Nicku!

Nick.

Żegnam Cię na wieki!

W przekładzie p. Germana ustęp ten brzmi:

Nick.

Schlafen, tief ins Grab versunken,
Wenn man es mir nicht weigert!
(Erbleicht, setzt sich beim König und verdeckt das Gesicht)
Vor der weiten Reise
Will ich einmal noch weilen unterm Elterndache.
Dort, im Felde die arme Hütt' — nach alter Weise
Schwarz vom Rauche die Wände, ein Bild im Gemache,
Vor ihm die Lamp'. Im Tore seh ich Wache halten
Den Hund, dort ragt die Eiche hoch mit morschen Zweigen—
O Gott! Dort an der Schwelle seh' ich meinen Alten
Am Pfluge meistern und im Gebete sich neigen!
Dort spinnt die arme Mutter mit Tränen in Augen —
Und singt ein Lied, dass in der Wiege ich vernommen —
Ach, wer würde es glauben, dass zur Welt gekommen,
Dort ein Wesen, das einzig zum Lachen kann taugen.

Heinrich.

Noch nie sprachst in solcher wehmütiger Weise;
Du warst immer so fröhlich?

Nick.

Durfte ich es wagen!
Wer hätt' in's Haus genommen die weinende Weise?
Laut schallt der Herren Kummer in Jammer und Klagen,
Den Armen zwingt zuweilen zum Lachen der Hunger.

Heinrich.

Mein lieber Nick, was fehlt dir? — Dieser Trank — ihr [Götter!
Vielleicht kann man dich retten!

Nick.

Mir hilft schon kein Retter!
Höre, mein König! An den Hof kam ich als junger
Knabe, die Diener lachten meiner so unsinnig —
Hohn Klang in ihrem Lachen — ich fühlte, ich hätte
Auch ein Herz, und ich liebte, der Hund an der Kette
Ist nicht so treu, ich liebte, mein König, dich innig
Ich wusst', wie schwer zum König frohe Laute dringen.
Ich wollt', dass dein Mund immer heitres Lachen habe,
Nun wird nie dich zum Lachen mein Wort jemals zwingen,
Ausser, wen du noch lachen wirst an meinen Grabe
Und dich die Todtenglocke mahnt an meine Schellen.

Heinrich.

Er stirbt! ach! des Verrates Tiefe ich ermesse —
Wie soll ich dir, mein Lieber, diese Stund erhellen?
Dein Blick ist starr, dein Antlitz decket Todtenblässe.

Nick.

Herr! Einige Dukaten häng an meine Mütze
Für die Eltern — die Spende überrascht sie milde,
Als Trost, oder im Elend vielleicht gar als Stütze.
Sie werden meine Mütze hängen bei dem Bilde,
Die Mutter wird wohl spinnend jenes Liedchen singen,
Das ich schon in der Wiege hörte freundlich klingen.
Gott! ach! mir ist so dunkel in Augen, so wehe!

Heinrich.

Du dauerst mich, mein Lieber, meine Tränen fliessen.

Nick.

Gab ich dir Grund wohl jemals Tränen zu vergiessen?
Warum ist mit dem Leben mein Lachen verklungen?

Heinrich.

O lache nicht! Dein Lächeln, so bitter, gezwungen,
Schmerzt mich tief und zerreisset mir das Herz; zum Lohne
Deiner Treue und Liebe zahlt man dir mit Hohne.

Nick.

So belohne mich! Wähle vier berühmte Weisen,
Dass sie dem Narr erweisen noch die letzte Ehre —
Und wird die Schulter drücken ihnen meine Schwere
Der Thorheit Schwere — sollen im Land sie mich preisen,
Dass nach dem Tode mehr ich wiege, als im Leben.
Du lächelst, Herr, ach — glücklich, selig, bin ich wieder!
Ich sehe noch ein Lächeln deinen Mund umschweben.
Verzeih' mir, Herr! Ich senke nun die Augenlieder
Auf ewig! Ach ich träume — solch ein bleicher Schimmer —
So wehe —

Heinrich.

Nick!

Nick.

O lebe — lebewohl für immer!

Tak wiernie i pięknie, jak ten ustęp, przetłumaczony jest cały dramat. Dowiadujemy się, że p. German dokonał przekładu z niemieckiego na polskie pieśni Nibelungów. Byłoby pożądanem, aby szanowny autor zapoznał naszą publiczność z tym przekładem, który, sądząc po prawdziwie artystycznym smaku autora, musi posiadać także niepoślednie zalety.

Bolesław Cz.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Mimo posuchy, upałów i późnego już lata, mieliśmy w upłynionym tygodniu gradobicie; nie takie wprawdzie które by niszczyło płody rolnicze, zabijało pawie, indyki i inne ptactwo krajowe, ale gradobicie na płody umysłowe galicyjskie, jakiemi są nasze gazety. Skonfiskowano „Wieńca,“ Szczutka, dwa razy Narodówkę, dwa razy Dziennik Polski, a skonfiskowanoby i więcej razy, gdyby nie dwa święta w tygodniu, w które te pisma na świat nie wychodzą. Można sobie tedy wyobrazić zawód i przykrość czytelników na wsi, którzy zamiast dwóch świąt mieli ich cztery z rzędu, a czytać nie było co. Ztąd wielki rumor powstał w narodzie łaknącym nowości, i chodzą pogłoski o dwóch powstałych naraz projektach. Jeden, aby zażądać nowej ustawy przeciw szkodliwym skutkom konfiskat, podobnie jak przeciw lichwie i pijaństwu, albo ochronie kózic i świstaków; — drugi aby utworzyć Towarzystwo assekuracyjne na wzór tych

*

jakie istnieją przeciw pożarom, gradobiciu i zarazie od bydła. Dziennikarze lwowscy wystąpili już podobno ze zbiorowem podaniem do p. Ministra prezydenta, a czytelnicy piszą statut dla stowarzyszenia, które za każdy skonfiskowany Numer gazety, dawać będzie abonomentom egzemplarz ustawy prasowej, dla otarcia łez paragrafami....

Między czynami karygodnemi prasy lwowskiej, znalazł się i biedny odcinek Gazety Narodowej z soboty za krytyczny pogląd na wypadki roku 1861, 2 i 3go. Dopóki władze naczelne państwa mało zwracały uwagi na swoje *okrainy*, dopóty i niewinny fejleton gazet pomijany był przez władze kontrolujące płody ducha gazeciarskiego — teraz jednak wzięto się i do tych okrain literackich, i zaokupowano krytyczny pogląd na historję.

Z tego powodu wysnuwa się znów nieznana potąd luka w prawodawstwie austrjackiem, to jest brak ściśle oznaczonego przedawnienia dla historji. W Rossji istnieje taki termin, a mianowicie epoka do wstąpienia na tron Aleksandra I-go. Historja uprzedzająca tę epokę ma tam już placet cenzuralny, a u nas przy swobodzie konstytucyjnej wszystko jest zależnem od uznania prokuratora. Zwracamy zatem uwagę naszych delegatów do Rady państwa, aby raz przecie zniesiono postępowanie objektywne, albo zaprowadzono uprzednią cenzurę; stan dowolności osobistej gorszym jest stokroć od najsurowszych praw.

Nareszcie książę Czartoryski i p. Hausner złożyli mandaty, pierwszy w Rohatynie, drugi we Lwowie. Nowy więc kłopot szukania posłów. Szczególniej Rohatyn jest zaambarasowany i kto wie czy nie rozpisze konkursu z oznaczeniem czasu próby i innemi warunkami potrzebnemi dla stabilizacji. We Lwowie za to kręcą się kandydaci i powoli z za kulis wychylają głowy. O ile słyszeliśmy p. Smolka sam z kandydaturą swoją nie wystąpi, a że p. Hausner nie użyczy mu poparcia, jestto już dla wszystkich publiczną tajemnicą. Czytaliśmy jego manifest rezygnacyjny do wyborców i wiemy czego żądał od p Smolki za swoją protekcję. W takich warunkach i w ten sposób postawionych żądaniach, kompromis nie był możebnym.

Dwa ostatnie festyny wyprawione w tym tygodniu na górze zamkowej, przekonały urządzających, że tego rodzaju uroczystości publiczne, kompletnie się przejadły we Lwowie. Wątpimy czy skóra stanie za wyprawę i radzimy wymyślić coś nowego na zwabienie rozkapryszonych widzów. Lwów rzeczywiście ma to do siebie, że lubi nowość za nowością i dlatego stanowi taki kontrast z konserwatywnym Krakowem, który na podobieństwo sfinksa gotów kilka razy odradzać się z tych samych popiołów. Przed trzema jeszcze laty teatr był w modzie: zachwycano się, unoszono, pisano i rozmawiano tylko o teatrze. Dziś ten sam teatr jest zaniedbany na rzecz niemieckich bardzo niesmacznych eksperymentów. Nowości nawet nie przyciągają i dlatego też dyrekcja po sztukach dramatycznych, probuje zaprowadzić sztuki łamane z panną Wandą na czele... Zdaje się, że to więcej przypadnie do smaku publiczności naszej, która jak powiedziałem wyżej, za cobądź pragnie nowości.

W tych czasach, cały Lwów jest zrujnowany. Towarzystwo tramwajowe łamie bruki, i szyny zakłada, Magistrat daje nową pokrywę na Pełtew i buduje kanał na gródeckiej ulicy, prywatni pod zimę biorą się do stawiania nowych domów tak, że co kilka kroków fabryka i rujnacja. Powszechnie mówią, że taka sama rujnacja i w kieszeniach mieszkańców; wszyscy się skarżą, że nie ma żadnego ruchu, że sklepy puste, a banki o pożyczki oblężone, że handel stanął, przedsiębiorstwa ustały i nie ma nadziei aby się coś polepszyło. Żal więc bierze patrząc na owe tramwaje, któremi nie wiadomo kto będzie jeździł, tembardziej, że w Ameryce już wynaleziono sposób kierowania balonami. Przemyślny jakiś Jankes zbudował podłużny aparat lekki, zwinny, który napełnia gazem wodorodowym. Na pasach okalających ten balon, zawiesza coś w rodzaju łódki z rurek miedzianych, pod spodem której umieszczone horyzontalnie koło wiatrakowe, nadaje dowolny kierunek tej napowietrznej dorożce. Robione próby wydały bardzo zadawalniające rezultaty: balon wzniósł się na tysiąc stóp w górę i wykręcał, zniżał, podnosił z całą swobodą mimo przeciwnego kierunku wiatru. I czegóż tu więcej żądać? Na przyszłą wiosnę będziemy sobie już swobodnie bujać po przestworze i łapać w lot jaskółki... Bywajcie zdrowe koleje, statki parowe, komory, pasporty straże celne, dorożki i tramwaje... Człowiek siada sobie do takiej dryndy i marsz w świat razem z wiatrami.

Pan Liwczak w Wilnie, również zadał cios drukarniom: bez czcionek drukuje doskonale za pomocą stempli, które wyciskają litery w masie papierowej, a z tej robią się matryce do stereotypów. Widzieliśmy w łamach „Gazety Polskiej“ i „Kłosów“ druk tej nowej maszyny i przyznać musimy, że wcale dobrze się prezentuje. Znawcy przepowiadają wielką przyszłość wynalazcy i przewrót w manipulacji drukarskiej.

Znana i wysoko ceniona autorka polska pani Marené wystąpiła z opozycją przeciw komitetowi urządzającemu obchód jubileuszowy Kraszewskiego w Krakowie, że nie dopuszczono kobiet do udziału w takowym, lecz pozwolono im tylko przyglądać się z galerji, jak brzydka połowa rodzaju ludzkiego zajadać będzie smaczne potrawy i spijać toasty.. My w zupełności podzielamy protest szanownej autorki, i nie rozumiemy dlaczegoby literatki nasze nie miały znaleść odpowiedniego miejsca tam, gdzie się ma oddawać hołd zasługom literackim szanownego jubilata. Jeżeli dla ich wielce użytecznych prac mogą być otwarte łamy wszystkich pism perjodycznych i nieperjodycznych, dlaczegoż tu mają być tylko widzami, a nie uczestnikami przy oddawaniu hołdu jednemu z ich przewodników. Usuwamy kobiety od wszelkich zajęć i prac na mocy praw silniejszego, pod pozorem jakiejś wyższości męskiej — lecz tu gdzie one z honorem stają w jednym z nami szeregu, należy im się równość i o nią słusznie się dopominają.

Kończąc niniejszą pogadankę tygodniową, nie mogę przemilczeć że w ostatnich czasach zrobiono nadzwyczaj interesujące odkrycie o kurtoazji węgorzy względem żon swoich. Wystawcie sobie czytelniczki, że te wysmukłe i ślizkie stworzenia zwane węgorzami, na całe lato wysyłają małżonki swoje do wód słodkich czyli rzek — coś nakształt rybiej Krynicy Szczawnicy, Karlsbadu i innych miejsc kąpielowych, a sami biedacy pozostają w morzu i karmią się wszelką goryczą wielkiego świata i tęsknią i niańczą młodych potomków przestrzegając aby nie dostały kaszlu, kokluszu, odry i innych dziecięcych dolegliwości. Otóż z tego się najoczywiściej pokazuje, że to co robią nasze panie nie jest wypływem ich kaprysów, ani chęcią lekkomyślnego upodobania w letnich peregrynacjach — lecz wynikiem naturalnego ustroju całej natury. Jeżeli małżonkowie węgorze mają takie poczucie grzeczności małżeńskiej, to czegoż spodziewać się można po ludziach małżonkach?

Z Krakowa dochodzą nas coraz to groźniejsze wieści o rozpościerającej się tam chorobie zwanej sukiennico — manią. Na tym starym bazarze, na jego budowniczym i na sławetnej Radzie miejskiej kto tylko nie chce ostrzy sobie zęby i język, jak na kamieniu szlifierza. Nie ma pisma polskiego, nie ma korespondencji, żeby nie nicowano tych sukiennic i budowniczego Prylińskiego... podsuwają mu nawet myśl, żeby się próbował powiesić po odsłonięciu swego dzieła, jak to miał zrobić budowniczy opery wiedeńskiej... Biedny ty męczenniku plotek krakowskich! Ja wyobrażam sobie co się tam dzieje z tobą w tej gorącej chwili, nim oddasz miastu ukończoną swą pracę! Zdaje mi się, że przeklinasz i dzień i godzinę, w której zobaczyłeś tę krakowską ruderę po raz pierwszy, i tę rękę która cię nauczyła rysować pierwszą kreskę na tablicy szkolnej. Co do nas życzymy abyś się nie udławił pierwszym toastem który wzniesiesz na uczcie inauguracyjnej, ostrzegając że w Krakowie zdarzają się często i kości w stanie płynnym!

WIADOMOŚCI ZE SŁOWEŃSKA.

W *Gwiazdce Cieszyńskiej* spotykamy następującą korespondencję, którą tu dosłownie przytaczamy:

Wiadomości ze Słoweńska, to jest od bratniego narodu Słowaków, jednego z najbliższych nam sąsiedztwem, językiem i charakterem narodowym, a równie jak my w niewoli żyjącego, powinny być dla nas bardzo ważne i ciekawe. W czasopismach naszych zbyt mało się z niemi spotykamy. Ztąd pochodzi, że o stosunkach tego narodu nic prawie nie wiemy, a tem samem też i o tem, jak narodowość Słowaków, tudzież wszystkich Słowian w Węgrzech mieszkających, przez Madjarów srodze jest prześladowaną.

Razem z innemi narodowościami jest tam uciskana także narodowość polska w Węgrzech mieszkająca. U nas jest to mało nawet wiadomem, że nasza polska ludność, od Spiżu aż do Morawy na całej granicy dzielącej Galicję i Szląsk od Węgier dość znacznie w kraj ten sięga. Zamieszkuje ona w stolicach (komitatach): Spiskiej, Liptowskiej, Orawskiej i Trenczyńskiej w znacznej liczbie. Według poważnej pracy statystycznej A. W. Sembery, umieszczonej 1876 r. w „Czasopiśmie muzeum królestwa czeskiego“, wynosi ona w wymienionych stolicach przeszło 83,000. Słowacy zaś, których liczbę statystycy podają na około 2 i pół miljona, z wyjątkiem osad niemieckich w Spiżu i około Kremnicy, zamieszkują jednolicie całą północno-zachodnią część Węgier, aż ponad Dunaj. Madjarzy gwałtem chcą ich zmadjaryzować, w podobny sposób jak nas Niemcy chcą zniemczyć w naszym Szląsku lub pod zaborem pruskim. Konstytucja w Węgrzech istnieje tylko dla Madjarów i żydów, trzymających z nimi, skoro mają władzę w ręku, a to przez wzgląd na dające się ztąd osięgać

korzyści materjalne, tudzież dlatego, że przy dobrych z zrządzącymi stosunkach łatwiej jest im się ochraniać od odpowiedzialności za dokonywane rozliczne nadużycia.

Dla Słowaków, jak w ogóle dla Słowian w Węgrzech, konstytucji wprost nie ma. Język ich, tak we wszelkich urzędach rządowych, jakoteż w szkole, jest poniewierany i usuwany na każdym kroku. Rząd pracuje nad tem całą siłą, aby w zakładach naukowych wychowywać renegatów słowiańskiej narodowości i nimi zasilać madjarską inteligencję, która bez wzmacniania się w ten sposób byłaby niezmiernie słabą. Wszystkie prywatne narodowe zakłady naukowe Słowaków, utworzone z ich grosza ofiarnego, aby chronić młodzież narodową od trucizny madjarskiej w szkołach rządowych jej dawanej, zniesiono rządowemi rozporządzeniami. W ogóle Słowakom dzieją się niezliczone i nie dające się opisywać krzywdy od Madjarów. Nie dopuszczają oni nawet tego, żeby Słowacy mieli jakąkolwiek możność publicznej obrony. Licząc około 2 i pół miljona ludności ze znacznym zastępem inteligiencji i ponosząc wielką część państwowych ciężarów, Słowacy w sejmie węgierskim nie mają ani jednego narodowego posła. Jest to wynikiem najszkaradniejszych nadużyć, jakich się Madjarzy dopuszczają przy wyborach, i niesłychanego w państwach konstytucyjnych dokonywanego przy nich gwałtu i nacisku ze strony rządu.

Mimo tego wszystkiego Słowacy nie upadli. Żyje w nich silnie duch narodowy. Przetrwają więc obecne prześladowanie i doczekają się lepszej przyszłości, bo godnie i dzielnie około niej pracują.

W dniach 5, 6 i 7mym sierpnia br. dali wymowny tego dowód. W mieście Turczańskiem św. Marcinie, gdzie wychodzi kilka ich narodowych czasopism, był podczas wymienionych dni liczny zjazd narodowy z okoliczności zgromadzenia „Živeny“ narodowego stowarzyszenia dla oświaty kobiet.

Bogaty program zjazdu rozpoczęty został, w jego pierwszym dniu, świetnem odegraniem przez amatorów dramatu „Syn ludu“. Przedstawienie to urządziło miejscowe św. Martińskie stowarzyszenie spiewackie. Dochód z niego przeznaczono na korzyść stowarzyszenia naukowej pomocy dla młodzieży Słowiańskiej „Radhost“, w Pradze istniejącego. Publiczność, którą sala teatralna była przepełniona, przyjęła słusznie to narodowe przedstawienie z wielkim zapałem i uznaniem dla jego wykonawców. Po przedstawieniu przybyli z dalszych i bliższych stron goście. wraz z miejscową publicznością, przepędzili w wspólnem gronie kilka miłych godzin, przy wzniosłym narodowym nastroju ducha.

W dzień drugi zjazdu przed południem, odbyło się bardzo poważnie i uroczo, pod cieniem starosłowiańskich lip na placu przed kościołem ewangielickim, ogólne zgromadzenie „Živeny“, wobec licznie zebranych członków (pań i mężczyzn), tudzież wielu gości. Po przeświadczeniu się o pomyślnym stanie zasobów pieniężnych stowarzyszenia, uchwalono jednomyślnie, ażeby to założyło w Turcz. Św. Marcinie wyższą szkołę żeńską, któraby w jesieni roku przyszłego otwartą została. Przemówienia tak kobiet jak mężczyzn pełne miłości kraju i poczucia swej narodowej siły, jakie na zgromadzeniu tem miały miejsce, każą się spodziewać, że uchwała rzeczona wykonaną zostanie.

Po zgromadzeniu „Živeny“ nastąpił w sali teatralnej wspólny objad przez trzy godzin trwający. Uczestniczyło przy nim około 200 osób obojej płci. W licznych a serdecznych i pięknych mowach i toastach dokonywanych w czasie objadu po większej części przez pierwszorzędne pośród Słowaków znakomitości, jak pp. Francisciego, Hurbana, Mudronia i tp. malował się silnie ich dzielny i szlachetny duch narodowy. Wypowiedziane przez paru z obecnych Czechów, jakoteż polskim głosem, wyrazy gorącej sympatji dla ich narodu i poczucia się do słowiańskiego z nim braterstwa, były nadzwyczaj mile przyjęte.

Wieczór dnia tego była taneczna zabawa, na której w czasie północnego spoczynku odspiewano z zapałem pieśń „Touha po slovensku“, utworu uczestniczącego w opisywanym zjeździe znakomitego czeskiego poety prof. Adolfa Hejduka, poczem tenże przez dziewice słoweńskie ozdobiony został pięknym wieńcem z napisem: „Adolfowi Heyduk, milovnikovi naroda slovenského — sloveské dcéry“.

W dniu 3cim zjazdu zrobiono popołudniu wycieczkę na pobliską Św. Marcina górę „Osykovo“. Tam wśród tchnącego swobodą górskiego powietrza i towarzystwa tęgich ludzi, pokrzepiono się dzielnie na duchu do trudnej narodowej pracy. Cześć wszystkim z myślą o niej tam zebranym.

Gdzie naród uciśniony, tak jak w Słoweńsku kraj swój kocha, tam prędzej czy później z pewnością do wolności dojdzie.

Słowacy przed wiekami mieli wolność i samoistny byt polityczny. Stracili zaś swobodę, skoro z Madjarami w dobrej wierze i na podstawie umowy zapewniającej obu narodom równe prawo, się złączyli. Madjarzy zamiast postępować w duchu tej umowy, jak to czyniła Polska w obec Litwy, nie znoszą ich narodowościowej odrębności, a mając władzę w ręku, znęcają się najniegodniej nad nimi, z pogwałceniem wszelkich Boskich i ludzkich praw. Istniejący dziś w państwie austrjackiem dualizm robi to, że biedni Słowacy w swym ucisku nie mają żadnej ucieczki. Dualizm ten bowiem jak przedlitawskie słowiańskie kraje monarchji Niemcom oddał w arędę, tak zalitawskie Madjarom.

Trzeba, abyśmy Polacy obznajomili się koniecznie zrzeczywistemi stosunkami Słowian węgierskich w ogóle, a szczególnie ze stosunkami tak bliskich nam z każdego względu Słowaków, tudzież naszej własnej tam ludności, a nie będzie mogło być między nami ani przyjaciół Madjarów, ani zwolenników panującego u nas w państwie dualizmu.

Da Bóg dla celu tego z czasem coś więcej i dokładniej napisać. Najlepiej wszakże, aby każdy z nas, skoro tylko może, starał się osobiście poznać węgierskie stosunki, gdyż uwierzyć, jak dalece są one niegodziwe, wtenczas dopiero całkiem można, skoro się człowiek sam o tem przekona. *Ł.*

TEATR.

Henryk Bodmer, dramat w 5 aktach p. I. Wdowiszewskiego.

Walka upadającej szlachetczyzny, z nowemi zasadami i pojęciami, wdzierającemi się w najzaciśniejsze zakątki, walka realnej pracy z narodowem *farniente*, rozumnej przedsiębiorczości z zardzewiałym systemem naszego gospodarstwa rolnego, energji wreszcie cechującej zawsze siły młode z ową niepospolitą radnością, jaką wiejskie nasze obywatelstwo na każdym kroku się odznacza, to wdzięczne, bardzo wdzięczne tło do społecznego dramatu. P. Wdowiszewski osnuwając swą sztukę, której tytuł podaliśmy powyżej, na tle tej walki, już tem samem złożył dowód trafnego na niej poglądu i okazał, że sięga w głębie naszych stosunków. Myśl sztuki jest dobrą, autor każe w walce tej zwyciężać kierunkowi nowemu, a tylko zlanie się tradycyjnej naszej szlachty z pełną energji i rozumu klasą przemysłowców uważa dla pierwszej jako jedyny sposób ratunku. Widzimy z tego, że „Henryk Bodmer“ jest sztuką tendencyjną i pod tym względem odpowiada zupełnie obecnemu kierunkowi dramaturgji i wymaganiom publiczności. Tendencja jednak sama, choćby najżywotniejsza, najlepsza i jak najdosadniejszemi poparta argumentami, nie wystarcza w dramacie, rozchodzi się o to, aby ją w formie pięknej za pomocą akcji na scenie uwidocznić. w przeciwnym bowiem razie będzie to uczona dysertacja, ale nie dramat. Sztuka p. Wdowiszewskiego zajmuje pod tym względem miejsce pośrednie: jest ona po części udramatyzowaną rozprawą, po części zaś dramatem, upstrzonym mnogą ilością pięknych i prawdziwych sentencyj. Wada ta jest kardynalną i musi być dla sztuki zabójczą, autor nie wie czemu dać pierwszeństwo, czy ma zajmować fantazję widza, czy też go uczyć, wskutek tego obraca się ciągle w błędnem kółku i nie może osiągnąć celu. Pod względem fabuły, która bądź co bądź w dziele scenicznem, jak w ogóle beletrystyce niepoślednie miejsce zajmuje, dramat p. Wd. grzeszy prymitywną prawie prostotą, sytuacyj dramatycznych nie zna prawie zupełnie, a widoczny brak obycia się ze sceną zdradza na każdym kroku. Dość powiedzieć że autor prawie zawsze akcję prowadzi tylko między dwiema osobami, czego w starogreckim dramacie już Eurypides zaniechał, jeżeli czasem zaś wprowadzi więcej osób na scenę, wtedy wszystkie nici z rąk mu się wyrywają i zostawia figury swoje na opatrzność boską. Nie brak też w „Bodmerze“ błędów psychicznych wypływających po większej części z naginania akcji do tendencji. Obok tych wad jednak świetnie błyszczą dwie strony dodatnie: charaktery i dyalog. Osoby działające w dramacie p. Wdowiszewskiego nie są to, jak w znacznej części naszych utworów scenicznych, manekiny — są to ludzie o wyraźnie namarkowanych i konsekwentnie przeprowadzonych charakterach. Jeżeli zważymy, że Henryk Bodmer jest pierwszą pracą dramatyczną p. Wdowiszewskiego. charakterystykę tę osób działających wysoko nam podnieść wypadnie. Dyalog jest prawie wszędzie poprawnym i odznacza się czystym i jędrnym językiem. Jakkolwiek „Henryk Bodmer“ jest płodem poronionym i nie może liczyć na powodzenie na scenie, wdzięczni jesteśmy dyrekcji za przedstawienie tego utworu, ze stron bowiem dodatnich tej sztuki poznaliśmy w autorze sporo talentu, który, mamy nadzieję, w następnych jego utworach uchronić się potrafi od teraźniejszych błędów.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

⁂ Dwutogodnik naukowy, poświęcony archeologji, historji i lingwistyce w zeszycie I. za m. wrzesień 1879 r. zawiera: I. Wyroby ceramiczne p. T. Ziemięckiego. II. Przyczynek do zbioru przysłów, piosenek, ucinków i przypowieści, przez St. Ł. III. Wykopaliska brakkatów pomorskich i meklemburskich, jakoteż starych denarów książąt szlązkich, opisał Władysław Jażdżewski. IV. Wiadomości.

⁂ Bibljoteka warszawska w zeszycie za m. sierpień 1879 r. zawiera: Od Redakcji; I. Logika Aleksandra Baina w przekładzie polskim przez Feliksa Jezierskiego; II. Z podróży i przechadzek po południowo zachodniej Norwegji, z luźnych notatek spisał Stanisław Bełza. III. Przyczynek do zdania o dziele Michała Bobrzyńskiego „Dzieje Polski w zarysie“ przez Aleksandra Tyszyńskiego. IV. Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskiem, przez Antoniego Wrotnowskiego. V. Kronika poznańska. VI. Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat 30 (1800 — 1830) przez K. Wł. Wojcickiego. VII. Kronika Paryzka literacka, naukowa i artysty-

-czna. VIII. Korespondencja do Redakcji. IX. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. XI. Nekrologja.

*** W Cieszynie nakładem Jerzego Kotuli opuściły w tych dniach prasę trzy broszury:

„Profesora Dra Sylwestra Grahama. O czystości obyczajów.“ Odczyt dla młodzieży, podług angielskiego oryginału i niemieckiego tłumaczenia Dra Schermana wolno przełożył K.

„Przewodnik w wyborze książek dla młodzieży szkolnej“, napisał Feliks Kozubowski.

„W sprawie szkół ludowych na Szlązku. List J. I Kraszewskiego do p. Jerzego Kotuli, poprzedzony życiorysem autora.

*** Z dniem 1. października ukazać się ma pismo tygodniowe „Salon paryski“, modom poświęcone.

*** P. W. hr. Aleksandrowicz, inżynier, zamieścił w „Revue universelle des Mines“ wielce zajmującą rozprawę geologiczną pt. „Note sur l'application de la méthode graphique à l'étude des tremblements de terre et les raports de ces derniers avec les failles.“

*** Edward Lubowski wykończył nową kilkuaktową komedję.

*** W Berlinie w dniach 5. do 8. września odbywały się obrady stowarzyszenia astronomów.

*** W Montpelier odbywają się posiedzenia drugiego kongresu francuskich towarzystw jeograficznych. Obradom przewodniczy Germain, członek akademji. Ze znakomitości zauważono pp. Bardoux, de Saporta, Brau de Saint-Pol Lias Soleillet, Manoir.

*** W Brukselli trzeci kongres amerykańskich antykwarjuszów odbywać będzie posiedzenia w dniach od 23. do 26. września, pod przewodnictwem króla belgijskiego.

Prasa perjodyczna.

*** Główny zarząd prasy w Petersburgu upoważnił redaktora „Przyrody i Przemysłu“, dra Karola Jurkiewicza, do czasowego zastępstwa redaktora „Bibljoteki Warszawskiej.“

*** W Paryżu ukazało się nowe codzienne pismo polityczne pt. „En avant“, którego tajnym kierownikiem ma być książę Napoleon.

*** Lesseps zaczął wydawać nowy dwutygodnik „Bulletin du canal international.“

*** Dr. Strousberg, znany król kolejowy, zamierza wydawać nowe pismo „Das kleine Journal“; pismo to ukazywać się zacznie od 1. października i kosztować ma tylko pięć fenigów.

*** W Eisenach otwarto obrady kongresu niemieckich dziennikarzy Kongres obecny jest mniej licznym aniżeli poprzednie. Najliczniej reprezentowane jest dziennikarstwo berlińskie. Są też delegaci gazet bremenskich, wrocławskich, frankfurckich, królewieckich, wiedeńskich i innych. Mowę powitalną miał p. Löwenheim, redaktor „Eisenacher Zeitung“. Odpowiedział mu w imieniu wydziału p. Stern z Wrocławia. Projektowanym wycieczkom przeszkadza niepomyślna pogoda.

Sztuki piękne.

*** Matejko wykończył dwa nowe obrazy historyczne mniejszych rozmiarów, które natychmiast jeszcze w pracowni nabyte zostały.

Jeden z nich wyobraża „Władysława Łokietka“, który wezwawszy na zjazd w Brześciu kujawskim w. mistrza Krzyżaków Karola z Licenburga, zrywa z nim układy dotyczące ziemi chełmińskiej i Pomorza, grożąc mieczem.

Drugi przedstawia „Spór małżeński Leszka Czarnego z Gryfiną“, przy którym, jako sędzia, był także Bolesław Wstydliwy.

Domowe te zatargi i spory w poufnej i drażliwej sprawie podjęte oddane są z szekspirowską komiką oraz z niezrównanym wyrazem i siłą powaśnionych osób.

Prócz tego na wystawie urządzającej się teraz w Sukiennicach w tych dniach umieszczone będą: „Portrety dzieci“.

Obraz ten w większych rozmiarach, już po powrocie z Rzymu dokonany, wyobraża w naturalnej wielkości rodzinną gromadkę własnych dzieci mistrza.

Prócz zadziwiającego podobieństwa tak rysów, jak również odrębnej właściwej naturze charakterystyki młodocianych temperamentów, odznacza się obraz ten wielkim przepychem świetności i mocy kolorytu.

*** Krytyka zagraniczna wita nowo powstający a potężny podobno talent.

Na wystawie monachijskiej pojawiło się wielkie płótno dwudziestodwuletniego lwowianina, Żmurki, syna znakomitego matematyka naszego Wawrzyńca Żmurki, przedstawiające „Konającą Kleopatrę“.

Obraz to wysokiej ma być wartości i rokujący twórcy świetną w dziedzinie pędzla przyszłość.

„Kleopatra“ wkrótce wysłaną zostanie do Warszawy.

*** Donoszą nam, iż arcydzieło Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“, ma być wystawione w Nowym Yorku w październiku r. b.

*** Na wystawę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie przybyły następujące obrazy; Bilińskiej Anny: „Na łące,“ Heymanna Stanisława: „Handlarz uliczny,“ Horowitza Leopolda: „Portret damy“ tudzież „Portret mężczyzny,“ Perla: „Po jarmarku,“ Piechowskiego Wojciecha: „W południe“ oraz „W ogródku,“ Rosena Jana: „Z polowania w Chantilly“ (obraz nadesłany z Paryża i oszacowany na 2500 franków), Sidorowicza Zygmunta: „Wschód księżyca,“ Sypniewskiego Feliksa: „Epizod z bitwy pod Warną,“ tudzież Szolca Kazimierza: „Widok na most i zamek Anioła,“ „Widok z nad Tybru w Rzymie“ i „Szkice z okolic Rzymu.“

*** W sali rzeźb umieszczono poniżej wymienione dzieła sztuki:

Klossa Karola, rzeźbiarza-dramaturga, gipsowe popiersie „Pastora“ i Ostrowskiego Kazimierza cztery portrety-medaliony, a mianowicie: Fredry (ojca), Kraszewskiego. Słowackiego oraz Szopena.

*** W „Dictionary of Music and Musicions (Słownik angielski muzyki i muzyków),“ wydawanym przez p. C. Groze, spotykamy artykuł o Szopenie, opracowany przez E. Darnseuthora.

„Saturday Reviev z dnia 12. lipca b. r. zawiera recenzję dzieła M. Karasowskiego o Fryderyku Szopenie, przełożonego na język angielski przez Emilję Hill

Recenzent, po gorącem przemówieniu o wielkim mocarzu tonów, żarliwie zachęca publiczność angielską do zapoznania się z życiem naszego mistrza.

*** Włoski minister oświaty, dla przeszkodzenia wywozowi dzieł sztuki starożytnej z Włoch, przywrócił w byłych prowincjach papieskich moc obowiązującą edyktu Pacca, według którego od przedmiotów sztuki wywożonych za granicę ma być pobieraną opłata 20 proc. od wartości.

Teatr.

*** Głośny tenor Tamberlick objął dyrekcję teatru *El Liceo* w Barcelonie.

*** W Karslruche w dniach 7, 8 i 9 października obchodzoną będzie stuletnia rocznica otwarcia teatru wielko-książęcego. W pierwszym dniu przedstawioną zostanie sztuka okolicznościowa Werthera z muzyką Langnera. Następnego dnia dane będą „Zbójcy“ Szyllera, a w trzecim opera Mozarta „Flet zaczarowany“.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Trzy wielkie w różnych powiatach księstwa poznańskiego dobra: Macew z Popówkiem, Madszynowo, Kęszyce przeszły w ręce niemieckie.

*** Nad ujściem Brdy budują obecnie port, na wzniesienie którego miasto Bydgoszcz przeznaczyło 90,000 talarów.

*** Do dnia 31 z. m. na liście gości kąpielowych w Szczawnicy zapisanych było 2521 osób; cyfra to najwyższa od początku istnienia zakładu.

*** Od kilku dni na przestrzeni między Sandomierzem a Nową Aleksandrją (Puławami) kursuje, z powodu niskiego stanu wody, tylko statek parowy „Zefir“.

Statkowi bowiem temu wystarcza siedmnaście cali wysokości wody.

Dowiadujemy się też, że w roku przyszłym ma biedz na rzeczonej przestrzeni nowy parowy statek „Sandomierz“.

Potrzebować on będzie jeszcze mniej wody, aniżeli „Zefir“.

*** W muzeum Luwru pracują obecnie nad założeniem przyrządów przeznaczonych do niesienia pomocy w razie pożaru. Galerje muzeum marynarki jako też i wszystkie inne sale zaopatrzone zostaną rurami rozprowadzającemi wodę po całym gmachu. Wszystkie zbiorniki wody będą zasilane przez rezerwoar, umieszczony u szczytu pałacu, co nadaje bardzo silną presję, dozwalającą zalać w kilka minut najwyższe galerje.

*** Koszta doświadczeń ze strzelaniem z nowych dział w Meppen wyniosły około 450,000 marek.

*** Rząd unji udzielił profesorowi Edisonowi patent na jego aparat elektrycznego oświetlenia.

*** Dorożki z gazowem oświetleniem!

W tych dniach wprowadzono w Wiedniu oświetlenie gazowe fiakrów.

Zbiornik gazowy w kształcie dużego, walcowatego rezerwoaru umieszczony jest obok kozła.

Próba powiodła się zupełnie.

Powóz tak oświetlony krąży od kilku dni po ulicach austrjackiej stolicy!

*** Oświetlenie elektryczne systemu francuskiego Gramma zaprowadzone jest obecnie w fabryce wyrobów żelaznych pana Bernarda Hantkiego w Warszawie.

W tym celu pan B. sprowadził dwie maszyny elektrodynamiczne Gramma, które będą wytwarzały światło.

Plac fabryczny będzie oświetlony ustawioną na wysokiem wzniesieniu latarnią o sile 50 płomieni gazowych; warstaty będą oświetlane przez lampy o sile po 10, 15 i 20 płomieni.

Roboty około zaprowadzenia światła obecnie są wstrzymane, a to z powodu, że maszyny elektrodynamiczne wypożyczone zostały zarządowi fabryki szyn Lilpopa, Lewensztejna i Rau'a na Pradze, która pospiesznie jest obecnie odbudowana.

Ta ostatnia fabryka zamierza też i u siebie zaprowadzić światło elektryczne.

Nadmieniamy, że systemat oświetlania elektrycznego Gramma, znajdujący zastosowanie we Francji już od lat sześciu, w stosunku do gazu przedstawia przeszło 25% oszczędności i daje światło wcale niepsujące wzroku.

*** W Lipsku 31 sierpnia obchodzono w synagodze 150 rocznicę urodzin Mojżesza Mendelsona. Świątynia była przepełniona przez chrześcijan i izraelitów. Radę miejską reprezentował nadburmistrz dr. Geogi. Śpiewy rozpoczęły i zakończyły uroczystość. Mowę wypowiedział z kazalnicy rabin dr. Goldszmidt.

*** Kobiety saratowskie. — St-Ped. wied.“ przytaczają wiadomość o postępie kobiet saratowskich. Dowiadujemy się tedy, co następuje:

Gdy w Kijowie na 100 uczących się chłopców przypada 43 dziewcząt — w Saratowie przypada ich 70. Stosunek ten istnieje w szkółkach ludowych. W średnich zakładach, t. j.: w gimnazjach żeńskich, liczba uczennic dwakroć przenosi liczbę uczniów w szkołach klasycznych i realnych. Najlepszym z dentystów w Saratowie jest pani (czy panna) Bierngut; najlepszym lekarzem chorób żeńskich i dziecinnych — p. Buchowcewa. Dwie biblioteki (z trzech miejskich) są utrzymywane przez kobiety. W 19 szkółkach ludowych na 20 nauczycieli przypada 20 nauczycielek. W szkółkach wiejskich kontyngens nauczycielek wyraża się w 50%. Kobiety saratowskie rozciągnęły działalność swoją i na gubernię samarską. Trzy udały się aż do Taszkientu na posady nauczycielskie, a jedna (p. Andrjejewa) wyjechała, jako nauczycielka, do Stanów Zjednoczonych, kilka już lat temu. Na stacjach telegraficznych przy kolei pracują same prawie kobiety. To, co do inteligencji. Proste śmiertelniczki saratowskie również dążą do samopomocy, bez zbytniej walki z niepiękną połową rodzaju saratowskiego. Widzimy je w kantorach i, jako subjektki, w handlu. Składają drzewo w przystani i wyładowują sól ze statków, pracują też, jako tragarki; wskutek czego, wory 5-pudowe zastąpione zostały 3-pudowemi. Połowa ilości szynków przeszła do rąk płci żeńskiej. Przewożeniem ciężarów trudnią się także w poważnej liczbie kobiety. Wyróżnia się między niemi siłą fizyczną i znajomością rzeczy

i dlatego najwięcej posiada zaufania ze strony interesowanych — niejaka dziewczyna, Masza.

Gdyby — powiadają „St-Pet. wied.“, — we wszystkich miastach i wsiach naszych tak samo urządziły się przedstawicielki płci pięknej, to kwestja sławetna emancypacji, która uprzykrzyła nam się aż do nudności, rozstrzygnęłaby się nareszcie. Pokazuje się, że dobra wola i uczciwe traktowanie rzeczy są jedynym kluczem do rozwiązania problematu w tym względzie.

W istocie, emancypacja, polegająca na ostrzyżeniu warkocza, przywdzianiu stroju męskiego (i to się zdarza niekiedy), nanośnikach, cygarach, papierosach i fajkach, na ponczyku i sporcie, oraz na wszelkich innych podobnych wyskokach, jest sobie wybrykiem niedobrego humoru czy usposobień, z niedobrego półwykształcenia wypływających. Miłość ogniska rodzinnego, kraju, ludzkości, pragnienie światła, odwrócenie się od złego i od złych, wrogów nauki i wolności, dążność do radzenia sobie własnemi siłami fizycznemi i umysłowemi, wykonywanie sumienne podjętych obowiązków, i inne podobne zacne rzeczy — oto, co chyba stanowi prawdziwą emancypację kobiety.

Wynalazki i odkrycia.

*** W ostatnim numerze „Köln. Zeitung“ znajdujemy wiadomość, iż profesor Klinkerfues, dyrektor obserwatorjum gotajskiego, dokonał ważnego wynalazku na polu telegrafji.

Przy pomocy zbudowanego przezeń przyrządu można po jednym drucie przesyłać równocześnie ośm depesz z różnych stacji.

Wynalazca pracuje jeszcze nad przyrządem, któryby uskuteczniał jednocześnie spisywanie wszystkich ośmiu depesz.

*** Z Greenwich doniesiono iż dr Harting odkrył w Strasburgu nowego kometę.

*** W Pola p. A. Palisa odkrył nowego okrągłego kometę, małych wymiarów.

*** Z nowym a ciekawym wynalazkiem są obecnie robione próby, które o ile się zdaje, zostaną uwieńczone dobrym rezultatem.

Jestto tak zwany telektroskop Zeleck'a.

Ma on służyć do przenoszenia drogą telegraficzną obrazów fotograficznych.

Pogłoski o tym znakomitym aparacie rozchodziły się jeszcze w roku 1877, a obecnie wiadome są o nim następujące szczegóły.

Telektroskop składa się z zwykłej fotograficznej ciemni optycznej z matowem szkłem, na którem zatrzymują się wyobrażenia osób i przedmiotów postawionych przed przyrządem.

Przenoszenie owych wyobrażeń za pomocą telegrafu zasadza się na godnej uwagi własności metalloidu selenu, który pod wpływem promieni światła zmienia w różny sposób opór względem przechodzącego przezeń prądu elektrycznego.

Otóż szereg czułych igieł z selenu pomieszczonych po za ciemnią optyczną, pod wpływem różnych stopni światła i cienia na szkle matowem tak kieruje prądem elektrycznym, że na przeciwnej stacji wprowadzone w ruch za pomocą elektromagnesów sztyfty grafitowe rysują na podłożonym tuż papierze obraz identyczny z tym, jaki się w danej chwili przedstawia w kamerze.

Do jakiego stopnia doskonałości wynalazek ten został doprowadzony — nie wiemy dokładnie.

Gdyby jednak okazał się praktycznym, byłby on nieocenionym.

Listy gończe za złoczyńcami wraz z fotografjami mogłyby wówczas przychodzić do miejsca przeznaczenia kilkanaście razy prędzej, aniżeliby tam przybyli sami łotrzykowie...

Złodziej uciekający ze zrabowaną kasą do Ameryki znalazłby oczekującego go na brzegu urzędnika policji z fotografją nadesłaną telegrafem atlantyckim już przed dwoma tygodniami — a warszawscy kantorowicze nie mieliby żadnej szansy uciekać z pieniądzmi pryncypałów.

Wreszcie ileżby na tem wygrały ilustracje i w ogóle prasa...

Z korespondentami telegrafującymi zdala po kilka tysięcy wierszy poczęliby konkurować specjalni rysownicy drogą teldgraficzną nadsyłający swe szkice...

To wszystko owoce postępu.

Podróże

*** *New-York Herald* ogłasza wiadomości, z których się okazuje, iż ekspedycja dla wyszukania zwłok sir Johna Franklina wylądowała w dniu 9 sierpnia 1878 na północnym brzegu zatoki hudsońskiej i w d. 1 kwietnia puściła się na łyżwach do kraju King Williama.

*** Do *Lloyda* telegrafują z Yokohamy, iż steamer „Nordenskiold“, który w dniu 1 sierpnia przybył do Yokohamy, i ztamtąd wypłynął do cieśniny Behrynga z zapasami dla ekspedycji szwedzkiej, zatonął w pobliżu Memory: załoga ocalona.

Handel i przemysł.

*** Projekt, dotyczący urządzenia w Moskwie wystawy powszechnej, został już całkowicie wypracowany i przedstawiony do zatwierdzenia; wystawa ma być otwartą od 15-go maja 1880 r. do 15-go września 1881 roku.

*** W Cieplicach urządzono drugą wystawę rzemieślniczo-przemysłową, połączoną z wystawą nowożytnych i starożytnych przedmiotów sztuki.

*** W Westerland (na wyspie Sylt) 1-go września nastąpiło uroczyste otwarcie telegrafu podmorskiego niemiecko-norwegskiego.

*** W dniu 15 września oddaną zostanie do użytku publicznego droga żelazna Düsseldorf-Elberfeld-Hagen.

*** Coraz częściej krążyć poczyna w pismach petersburskich i moskiewskich wieść o zniesieniu tak zwanych deklaracji kupieckich, składanych na komorach przy opłacaniu cła od towarów zagranicznych; deklaracje zastąpione być mają przez oględziny urzędnika komory, który sam przekona się o ilości i jakości towaru.

*** Z 194,446 sztuk bydła przeznaczonego na bicie wołów, owiec i świń, które handlarze amerykańscy wysłali żywcem do Europy w ciągu roku 1878 na okrętach specjalnie w tym celu urządzonych 10,657 padło w drodze, a 2,100 w portach w chwili przybycia.

Statystyka.

*** Paryskie Towarzystwo geograficzne liczyło w dniu 31 grudnia 1878 roku 1700 członków, podczas gdy w roku 1864 miało ich tylko 303; towarzystwo posiada w liczbie członków ośmiu monarchów albo naczelników państw: cesarza brazylijskiego dom Pedro de Alcantara; b. króla hiszpańskiego Franciszka Assise; króla belgijskiego Leopolda II; króla portugalskiego, Ludwika I; króla Kambodży, Norodoma I; sułtana Zanzybaru, Syed Barghash Ibn Syed-Saida; prezydenta rzeczpospolitej meksykańskiej don Porfirio Diaza; księcia rumuńskiego, Karola Hohenzollern.

*** Z urzędowego sprawozdania dyrekcji poczt i telegrafów za rok 1878 okazuje się, iż w Zjednoczonem Królestwie Wielkiej Brytanji i Irlandji było w tym czasie 13,881 urzędów pocztowych. Liczba oddanych na poczt ach listów była o 39,540.000 większa, niż w roku 1877. W ciągu roku wymienionego oddano telegramów, z wyjątkiem dziennikarskich, liczących słów 24,459,513. Redakcje dzienników, kluby i t. p. otrzymały około 286 miljonów słów telegrafowanych. Poczta zatrudniała 45,947 osób, z których należy do służby telegraficznej 11,448 urzędników. Czysty dochód poczty przyniósł 2,434,000 funtów szterlingów.

*** Dyrekcja berlińskiego biura „Veritas“ ogłasza statystykę katastrof morskich za miesiąc lipiec. Żaglowców zatonęło: angielskich 32, francuskich 11, amerykańskich 8, niemieckich 6, norwegskich 3, austrjackich 2, rosyjskich 2, 1 arabski, 1 hiszpański, 1 grecki. 1 włoski, 1 szwedzki, nieznanych pawilonów 6 — razem 75. Parowców zginęło: angielskich 8, 1 egipski, 1 okręt nieznanego pawilonu — razem 10.

*** Stan marynarki kupieckiej w Austrji, wraz z Węgrami, wyraża się w następujących cyfrach:

Na początku roku zeszłego austrjacko-węgierska marynarka handlowa liczyła 7,608 okrętów, mających zawartości 324,898 ton, o sile 16,390 koni. Obsługiwało te statki 27,644 ludzi.

Z powyższej liczby ogólnej stanowiło własność Austrji 7,105 okrętów, mających zawartości 257,700 ton, o sile 16,293 koni, i obsługiwanych przez 25,223 ludzi. Reszta, to jest 503 statków, mających zawartości 67,198 ton, o sile 97 koni, i obsługiwanych przez 2,421 ludzi, należało do Węgier.

W końcu roku zeszłego, liczba statków zwiększyła się znacznie, a mianowicie marynarka handlowa Austro-Węgier posiadała 7,887 okrętów, mających 327,729 ton zawartości, o sile 16,402 koni. Obsługiwało te statki 28,852 ludzi. Przybyło więc w ciągu roku zeszłego 279 statków, mających zawartości 2,931 ton, o sile 12 koni. Równocześnie liczba ludzi zwiększyła się o 1,108 osób.

Zbudowano także w tymże roku 8 nowych latarni morskich i poprawiono 5 dawniejszych. W ogóle, przy końcu roku zeszłego było ich 121.

W roku zaprzeszłym 1877, ruch żeglugi handlowej austro-węgierskiej był nader ożywiony. Do portów austrjackich weszło 42,881 statków żaglowych, mających zawartości 4,275,813 ton, tudzież 14,840 parowców, których zawartość wynosiła 3,534,362 ton. Wyszło zaś 43,108 stotków żaglowych (4,265,212 ton), oraz 14,830 parowców (3,533, 768 ton). Do portów zagranicznych weszło 6,763 okrętów pod banderą austrjacko-węgierską, mających 4,082.919 ton zawartości.

Zjawiska przyrody.

*** W Petersburgu w nocy 30. sierpnia powstała szalona ulewa z zawieruchą. Woda w rzekach i kanałach przybrała o pięć stóp przeszło. Okolice położone nad rzeką dotknięte zostały powodzią. Z wielu will na przedmieściach zawierucha zerwała dachy. Mnóstwo też łodzi zatonęło.

*** W Szegedynie dało się uczuć w dniu 30. sierpnia, o godzinie 5. rano, trzęsienie ziemi. Wstrząśnienie trwało dwie sekundy. Trzęsienie ziemi w Szegedynie należy do bardzo rzadkich zjawisk przyrody. W Szöreg trzęsienie było o wiele silniejsze. Dzieci powypadały tam z łóżek. Stoły i krzesła się poprzewracały. Ludność popadła w wielki przestrach.

ROZMAITOŚCI.

*** Maszyna do latania.

Wynalazł ją w New-Yorku p. Riesehall.

O ile gazety tamtejsze twierdzą, próby z przyrządem do latania dały jak najlepszy rezultat.

Podobno kwestja kierowania lotem została rozwiązana prawie zadawalniająco.

Maszyna przedstawia balon formy podłużnego walca o długości 25 stóp i 13 stóp w przecięciu poprzecznem z materji nieprzepuszczalnej.

Balon ten napełniony jest wodorem.

Walec otoczony jest szerokimi i mocnemi pasami, na których zawieszono grubą rurę miedzianą z klatką z rurek miedzianych i niżej poziome koło wiatrowe mające służyć za ster.

Koło to posiada szybkość do 2,000 obrotów na minutę.

Waga całego przyrządu nie przewyższa 120 funt.

Podczas próby w New Yorku balon szybko podniósł młodego człowieka ważącego 130 funtów na wysokość 1,000 stóp, a następnie uniesiony prądem powietrza przeszedł kilka wiorst w kierunku poziomym.

Ster przez ten czas umyślnie pozostawiono w bezczynności.

Kiedy zaś wprowadzono go w ruch, przyrząd do latania bez względu na silny wiatr przeszedł w przeciwnym kierunku (t. j. pod wiatr) i spuścił się bez szkody na ziemię...

*** Roślinne owady...

Jak donoszą gazety, niedawno w południowej Ameryce odkryty został godny uwagi egzemplarz owadu, który po śmierci zmienia się w roślinę.

Kiedy ma on już kończyć życie, zakopuje się w ziemię na głębokość od 1 i pół do 2 cali, a po śmierci z brzuszka owada wyrasta zwolna maleńka roślinka o niebieskich kwiatkach...

Rzecz prosta, na wiadomość tę patrzeć trzeba krytycznie, tem bardziej, iż rzecz podano tylko w charakterze gazeciarskiej wiadomości.

Gdyby się to przecież sprawdziło, byłby to jeden więcej dowód, że królestwa roślinne i zwierzęce w bliskiem ze sobą znajdują się pokrewieństwie.

Za autentycznością przytoczonego faktu przemawia w pewnej mierze wzgląd, że wiadomości o roślinach-owadach nie po raz pierwszy ukazują się w nauce.

Już przed stu laty w bardzo rzadkiem obecnie dziele „Dictionnaire de merveilles de la nature“ znajdujemy wiadomość, że w Ameryce na Domingo i Kubie odkryty został oryginalny owad...

Owad ten w maju zakopuje się w ziemię, a w następnym miesiącu wypuszcza maleńką roślinę podobną do korala...

Roślinka wydaje małe strączki, z których następnie wychodzą maleńkie owady.

Dodać trzeba, że Darwin (syn) dowodził przed kilku laty że niektóre rośliny wielce są podobne z funkcji organicznych do zwierząt.

Wobec tego nowy w Ameryce odkryty fakt można uważać za ważny dla nauki.

*** W pobliżu miejscowości Rossbach, w górach czeskich, od wielu lat żyje w lesie samotnie człowiek, który gorzej jeszcze mieszka niż stary Diogenes, gdyż w zimie zarówno jak w lecie wystarcza mu za całą ochronę szałasik z prętów i gałęzi sklecony.

Najcięższe zimy przebył już odludek w tym szałasiku i widocznie bardzo sobie w nim upodobał, gdyż nigdy nie chce przyjąć gościny, ofiarowywanej mu przez poczciwych włościan okolicznych.

Rozumie się, że pożywienie samotnika równie jest pierwotne, jak mieszkanie, a wielkie to już z jego strony ustępstwo, jeżeli za przyniesione włościanom w dolinie drzewo pozwoli się uczęstować kieliszkiem wódki i kawałkiem słoniny!

*** W Berlinie umarł w tych dniach w sędziwym wieku kapitalista Bayer, którego Berlińczycy nie nazywali inaczej, jak „poczciwy jegomość“.

Bayer niegdyś miał znaczny majątek i był właścicielem kilku kamienic, w których mieszkania wynajmował wbrew smutnej zasadzie, przyjętej przez większość panów kamienicznych, tylko takim biedakom, którzy mieli przynajmniej sześcioro dzieci.

Pewnemu robotnikowi, który, nie mogąc nigdzie znaleść mieszkania, zgłosił się do niego i wyznał, że ma „jedenaścioro“ stary poczciwiec taką dał odpowiedź:

— Cóż robić? wiem, że z czynszem będzie krucho, ale mieszkanie dostaniecie u mnie, a jak już będzie cały tuzin“, nie zapominajcie mnie zaprosić na kuma.

Ostatnie przesilenie finansowe zrujnowało i zacnego Bayera, tak, że musiał przytułku na starość szukać u krewnych.

*** Donoszą z Ameryki, że niejaki mister Flinn, zwany powszechnie jenerałem Mitra, mający lat 14 i ważący 9, wyraźnie *dziewięć* funtów, przy wysokości $26^1/_2$ cali, dostanie się wkrótce pod... najmniejszy w świecie pantofelek.

Pantofelek należy do miss Lucji Zarate, ważącej $4^3/_4$ funtów przy wysokości 25 cali.

Dodać należy, że miss Lucja przy urodzeniu ważyła... 8 uncyj.

Dwa te mikroskopijne maleństwa, rozwinięte zresztą zupełnie prawidłowo i robiące obecnie *furore* w Ameryce, połączą się więc węzłem małżeńskim.

Poczem przybędą do Europy.

Czy tu staną się patrjarchami nowego rodu liliputów — trudno zgadnąć.

*** Według wszechwładnej mody paryskiej, panie muszą teraz *volens nolens* używać lasek.

Sprytni fabrykanci silą się na ich coraz to dowcipniejsze kształty.

Co jeszcze nosić będą kobiety?

KLUB NERWOWYCH

przez

EDWARDA DANGIN.

Dokończenie.

IV.

Gdzie się spotyka znowu z panią Chaufornier.

Następnej niedzieli Nepomucen i Scypion nie zapomnieli się stawić na zaprosiny pana Hektora Durand. Takie było nazwisko nowego ich przyjaciela.

Kiedy przybyli, towarzystwo było już zebrane w komplecie, a Hektor przemawiał coś do całego zebrania. Po przybyciu dwóch nowych gości, gospodarz przedstawił ich, wyjaśnił w krótkich słowach jakiem kalectwem są dotknięci i prosił ażeby przyjęci zostali do wspólnego grona.

Przyjęto ich jednogłośnie, uściśnięto im ręce i Hektor ciągnął dalej przerwaną mowę:

„Tak panowie trzeba podnieść zebranie nasze do wysokości stowarzyszenia.

„Natura, która nie jest matką dla wszystkich swoich dzieci upośledza mniej ukochane rozlicznemi dolegliwościami i kalectwami.

„Wpośród kalectw jednem z najstraszniejszych są bez wątpienia drgania nerwowe; najstraszniejsze powtarzam, bo oddzielają swoją ofiarę od reszty towarzystwa. Nie jest to cierpienie, któreby lekarz mógł wyleczyć i z tego też powodu żadnej w świecie nie budzi litości. Świat okrutny jak wielkie dziecko, obraca w śmieszność człowieka, którego powinienby szczerze żałować...

„Człowiek dotknięty drganiem nerwowem nie może się żenić ani bywać wśród ludzi... naraziłby się tylko na śmiech, a i rodzina powiększej części wstydzi się takiego członka.

„Otóż panowie zwiążmy się w klub — załóżmy *Klub Nerwowych.* Klub ten będzie mieć za zadanie, oprócz zbierania się takiego jak dotąd, wypełnianie jakiegoś uczynku miłosiernego. Każdy powinien podjąć się jakiegoś obowiązku i wypełniać go. Idzie nam głównie o wyszukiwanie i przyciąganie do siebie tych wszystkich, którzy są dotknięci drganiami nerwowemi, ażeby ich otoczyć tkliwością i pocieszyć. Czy się wam to podoba?

Wszyscy okryli oklaskami słowa Hektora. „Klub nerwowych“ został założony.

Dotychczas istnieje on jeszcze i choć stowarzyszenie to jest nieznane, niemniej jednak należy do najlepszych i najdobroczynniejszych rzeczy, jakie się znajdują w Paryżu. „Klub nerwowych“ liczy dzisiaj siedmdziesięciu członków. Ponieważ liczba ich do tego stopnia się powiększyła, zmuszeni byli na każde zebranie najmować pierwsze piętro u jakiegoś winiarza. Ponieważ jednak wydatek taki wydawał im się zbytkownym, postanowili zająć na *Faubourg Saint-Antoine* w dwóch sąsiednich domach wszystkie maleńkie mieszkanka.

Posiadają oni regulamin bardzo sprawiedliwy, do którego stosują się ściśle. Każdy członek płaci do wspólnej kasy 25 centymów miesięcznie, ażeby utworzyć fundusz żelazny na udzielanie pomocy w razie choroby, lub wielkiej nędzy którego z członków. W razie śmierci każdy daje 50 centymów na sprawienie przyzwoitego pogrzebu. Ubodzy członkowie żadnych nie dają składek. Członkowie Klubu obowiązują się kupować wszystko u krawców, szewców i td. należących do towarzystwa, dla ułatwienia tymże sposobu do życia. Prezydent Klubu jest egzekutorem testamentu każdego członka, który nie posiada rodziny. Prezydenta wybierają co roku tajemnemi kartkami. Towarzystwo posiada własnego lekarza.

Raz schronieni w tym porcie zbawienia przyjaciele nasi żyli już spokojnie. Nepomucen nie chciał zamieszkać w wspólnym domu woląc pozostać na ulicy Beaubourg, gdzie go ciągnęło wspomnienie młodości, pamięć ślicznej Rózi.

Pensja 400 franków jaką otrzymał od szkoły Medycznej złączona z własnym funduszem pozwalała mu żyć wygodnie.

I tam właśnie znajdujemy go w dziesięć lat później w skromnem mieszkanku, gdzie jego odosobnione życie tak bardzo intryguje panią Chaufornier.

Powróćmy do naszego opowiadania przerwanego na końcu pierwszego rozdziału.

— Kto jesteście panowie? — zawołała odźwierna rozgniewana, że jej tak przerwano.

— Jesteśmy braćmi zmarłego, braćmi przez przyjaźń i wspólne nieszczęście.

— No to śliczną miał familię — mruknęła czarownica do siebie.

I rzeczywiście ludzie ci dziwny przedstawiali widok. Biednie, nawet po największej części nędznie poubierani, a każdy z nich podlegał jakiemuś drganiu nerwowemu.

Jeden głową potrząsał, drugi doznawał drgania w nodze i potrząsał nią żeby się go pozbyć. Ten znów cierpiał na drgania chroniczne w twarzy, a tamten przymrużał nieustannie oko.

Słowem całe to zebranie miało w sobie coś niedorzecznego, nieprawdopodobnego, fantastycznego.

Odźwierna, która nigdy i z żadnego powodu nie obawiała się napaści, teraz czuła się nie bardzo pewną.

Nakoniec człowiek, którego głos tak bardzo ją przestraszył odezwał się raz jeszcze:

„Panowie zajmijcie miejsca... jeden z naszych braci skonał i myśmy, jak to jest obowiązkiem i celem naszego braterskiego stowarzyszenia, byli obecni przy ostatnim jego tchnieniu, przy oswobodzeniu go z nieszczęść tego świata. . Zgodnie z naszymi statutami odbędziemy nasze posiedzenie przy jego śmiertelnem łożu.

„W skutek tego ja, prezydent Klubu nerwowych ogłaszam, że posiedzenie jest otwarte.

„Panowie, tak jak to u nas jest w zwyczaju przy śmierci jednego z naszych braci, złożymy mu ostatnie pożegnanie“.

Wtedy ci ludzie osobliwsi, poważnie, milcząco, jeden po drugim zbliżali się do Nepomucena, ściskali jego skostniałą już rękę i na czole składali ostatni pocałunek. Przyjaciel Scypion był niepocieszonym. Gdy to zostało ukończone, prezydent odezwał się w te słowa:

— Biedny Mathiasie, wydałeś już ostatnie tchnienie, pochylamy pobożnie głowy przed twemi resztkami śmiertelnemi i mamy nadzieję, że z wysokości nieba, gdzie jesteś teraz, spuścisz na nas przyjazne spojrzenie... mamy nadzieję, żeś już powiedział Bogu:

— Mój ojcze przebacz złym ze względu na dobrych, przebacz tym, którzy mi dokuczali, szydzili ze mnie ze względu na tych, których spotkałem w życiu przychylnych, usłużnych, dobrych i litościwych...

Po chwili namysłu ciągnął dalej.

„Teraz moi bracia, ponieważ w skutek naszych statutów prezydent Klubu ma poruczone zajęcie się wypełnieniem ostatniej woli każdego zmarłego brata, więc otworzę testament i udzielę wam ostatnią jego wolę.

Testament był bardzo prosty.

„Ja, Mathias, będąc zdrowym na ciele i umyśle, leguję wszystkim moim braciom z „Klubu nerwowych“ wiekuistą wdzięczność za tkliwość jaką mnie otaczali... pozostawiam moje umeblowanie temu z braci, który będzie najuboższym, a majątek mój kasie zapomóg Klubu.

„Ciało zaś moje przeznaczam szkole medycznej tak jak się zobowiązałem

Nepomucen Mathias.

— No... a mnie? nic nie zostawia — zawołała pani Chaufornier.

— Nic pani, nic — odparł sucho prezydent.

Członkowie klubu rozeszli się, pocałowawszy raz ostatni biednego Nepomucena.

Akademia medyczna otrzymała jego ciało — za miesiąc któryś z doktorów ogłosi długi raport o jego kalectwie.

— Mniejsza o to — mówiła pani Chaufornier, gdy wyniesiono ciało — w każdym razie to było wielkie nic dobrego.

M. Jarmund.

Treść Nr. 33.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.